Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści
ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 8 listopada 1936 r. Nr. 45

W starym młynie...



Zamarło życie dziś w starym młynie,
Nie brzmią, jak dawniej, w nim ludzkie głosy,
Czasami tylko, gdzieś z dala spłynie
Głos jakiś, lub dźwięk po rannych rosach.

Dziś niepotrzebny już młyn nikomu,
Ot, grat spleśniały, co nic nie znaczy,
Krąży wieść dziwna po wiejskich domach,
Że w starym młynie diabeł w noc straszy.

W jesienne, głuche pono wieczory,
Pali się w oknach czasami światło —
To krwawy młynarz, co zabił toporem
Swą żonę, przychodzi tam z zaświatów.

I chociaż później, w dzień, świeci słońce
I młyn cichutko drzemie wśród jaru,
Ludziska robią krzyż ręką drżącą
I trzykroć plują na hańbę czarom.

Zamarło życie dziś w starym młynie
I świat legendą go złą otoczył —
Choć potok chlebnych ziarn po nim spłynął
I wdzięcznych tyle patrzało nań oczu.

Maria Zemmlerówna.

WOJCIECH HOLM

6)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Dlatego — mówił Edward, ze łzami w oczach i drżeniem w głosie — że panicz nasz leży na dnie przepaści w Czartowskim Jarze.

— Boże mój! — zawołała przerażona leśniczyna. — Moje dziecko nieszczęśliwe! Czegom ja się doczekała!

Załamując ręce, upadła obok noszy na kolana. Głośne rozmowy i płacze zbudziły Herberta. Wyszedł na próg.

— Paweł! — zawołała nań żona. — Co za nieszczęście! Sylwia wdową, zanim była przed ołtarzem! Nie ma już Wildensteinów! Werner nie żyje!

ROZDZIAŁ XIX.

Wędrowcze, pomódl się za jego duszę!

— Młody... zdrów... co mu się stało? — zapytał. Leśniczy skamieniał z przerażenia.

Jeden ze służby opowiedział krótko, co się stało tej nocy. W ciężkim zmartwieniu słuchali oboje leśniczowie.

— Panie, świeć nad jego duszą! — szepnął Herbert — to był dzielny, szlachetny chłopiec.

Potem czule wziął Sylwię na ręce i zaniósł ją do jej pokoiku na łóżko, gdzie tak często zasypiała, marząc o Wernerze.

Zostawił ją opiece kobiet i wyszedł.

Magdalena rozebrała ją przy pomocy Kasi i różnymi środkami przywoływała ją do przytomności. Nareszcie po długim czasie Sylwia otworzyła oczy.

Powiodła po pokoju wzrokiem nieprzytomnym. Czoło miała rozpalone, a nogi zimne jak lód.

Posłano do miasta po lekarza.

Przybył wnet, zarządził, czego potrzeba, ale powiedział bez ogródek, że chora ma nerwową gorączkę w wysokim stopniu.

Obawy nie krył wcale.

W istocie gorączka się wzmagała. Wieczorem była tak silna, że Herbert sam pojechał po lekarza. Ale teraz i lekarz nie mógł nic pomóc. Sylwia mówiła w gorączce.

Zdawało jej się, że ją dzieli z Wernerem morze płomieni, przez które musi przejść do niego. Odważnie rzuciła się w płomień.

Chciwe płomieniste języki rzucają się na jej odzież i pożerają ją. Palący żar czuje już na ciele i twarzy.

Ach, jak to boli! Jak dusi dym!

Ach, jakby wrócić, którędy uciec, ujść tej strasznej męczarni.

Nie, ona nie ucieknie.

Oto tam po drugiej stronie stoi Werner i woła ją skinieniem ręki.

Prędzej, naprzód, bo nie dojdzie.

Ostatkiem sił bieży naprzód przez straszliwy piekielny ogień. Lecz płomienie obejmują ją i dorwawszy się do jej ciała, palą ją na czarny węgiel.

Co za męka! Co za męka!

Boże, zlituj się!

I oto otwierają się stropy niebieskie i przeźroczysta kryształowa, chłodna, orzeźwiająca woda strumieniem spływa na nią. Już chce uklęknąć, by podziękować Bogu za ratunek.

Ale... o okropności! To nie woda, ale lód, śnieg zimny, jak lody podbiegunowe. Dreszcz wstrząsa jej ciałem, każdy oddech smugą pary odznacza się w powietrzu, zimno śmiertelne chwyta ją, już zamarza, raz jeszcze chce się pomodlić... szepnąć imię Wernera... nie może. Członki jej sztywnieją, życie w niej zamiera i gaśnie.

Dobrą chwilę leży bezwładnie.

Nagle jednak widzi się w innej okolicy.

Na wysokiej górze stoi z Wernerem. On trzyma ją pod ramię. Słucha jego ukochanego głosu. On ją całuje, przyciska, obejmuje. Wreszcie ona odpowiada na te czułości. Obejmuje go także.

Co to?

Werner ma skrzydła!?

— Co to?! — pyta go trwożnie.

— Na tych skrzydłach zabiorę cię do nieba — odpowiada on i obejmuje ją obydwoma ramionami i wznosi się do góry, jak ptaki, które lecą tak prędko w powietrzu, że wiatr świszcze im w uszach.

Ale Wernera opuszczają siły.

Sylwia chce się wyrwać, aby mu nie ciężyć, aby sam przynajmniej doleciał do nieba.

Ale on odgaduje jej myśli i silniej przyciska ją do siebie.

— Nie bój się najdroższa — mówi czule — jestem dość silny!

I z nadludzkiem wytężeniem porusza skrzydłami, ale wnet widzi, jak Werner blednie, krew ucieka mu z twarzy, skrzydła opadają i oboje z niesłychaną szybkością spadają.

Pod nimi Czartowski Jar.

Błyskawica nie leci prędzej, niż te dwa ciała spadające. Jeszcze setna część sekundy, a będą leżeć na dnie przepaści zmiażdżeni.

Sylwia w trwodze śmiertelnej zamyka oczy.

Nie chce widzieć tych okropności.

Z grzmotem i hukiem spadają ogromne złomy skał, które grzebią ich i zasypują.

. . . .

. . . .

Podczas, gdy Sylwia walczyła między życiem, a śmiercią, Egon zaczynał już zbierać plony swej zbrodni.

Zręcznie zabrał się do dzieła.

Z istnem mistrzostwem udał głębokie zmartwienie, gdy mu zameldowano śmierć Wernera.

Płakał tak rzewnie, że pokojówki patrzały nań ze współczuciem.

Przez kilka dni nawet mało, co jadł i pił.

Rozesłał do krewnych i przyjaciół listy z czarnymi obwódkami, pełne słów głębokiego żalu.

Cała służba miała ubrać się w żałobę.

W kościele odprawiono uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego tak nagle młodego dziedzica i urządzono mu nadzwyczaj uroczysty pochód pogrzebowy.

W całej okolicy nie mówiono o niczem innem, jak o tem tylko, że obfite żniwo miała śmierć w Königswalden w przeciągu jednej doby i z jaką godnością Egon objął w posiadanie tak znaczny spadek.

Nad Czartowskim Jarem zaś wzniesiono olbrzymi krzyż z napisem:

Tu zginął dnia 7 lipca 1887 roku
hrabia Werner, pan na
Wildenstein i Königswalden

Wędrowcze, pomódl się za jego duszę!

Pastuszkowie i pasterki plotły wieńce i zdobiły nimi krzyż i nikt nie przeszedł tamtędy, nie zmówiwszy pacierza.

Jeden tylko człowiek omijał starannie to miejsce. Był nim Egon — spadkobierca zmarłego hrabiego.

Wprawdzie sąd ustanowił zarządcę, który dokładnie miał zdawać rachunki z każdego przychodu i rozchodu, ale Egon ze wszech stron był

uważany za spadkobiercę tego książęcego majątku.

Teraz kredytu nietylko mu nie odmawiano, ale nawet bardzo chętnie ofiarowywano.

U Egona wszyscy bardzo to szanowali, że w Königswalden w zaciszu oddał się żałobie.

Nikt nie przypuszczał, co go skłaniało do tego, że nie opuszczał Königswalden.

Egon chciał wpierw się upewnić, czy Werner w istocie nie żyje.

Potem dopiero mógł swobodnie oddać się używaniu majątku we Wiedniu.

ROZDZIAŁ XX.

W czasie, gdy Egon marzył o tak bliskim bogactwie, sprzedany i zdradzony Werner spędzał dnie pełne niesłychanych męczarni.

Więzienie jego nie miało ani okien, ani widocznych drzwi.

Dostęp jedyny był przez drzwi spadające na skrzydle zamku.

Otwierały się one tylko z zewnątrz, Werner zaś nie mógł nawet dosięgnąć ich ręką.

Nie mógł więc wiedzieć nawet, gdzie one są, ani probować, czy nie dadzą się otworzyć.

Zrazu nie widział nic wśród nieprzeniknionych ciemności.

Stopniowo jednak przyzwyczajał się do nich i poznawał otaczające go przedmioty.

Nie było to jednak nic pocieszającego.

Ściany i podłoga składały się z mocno spojonych kamiennych tafli. Olbrzymi gładki kamień służył za stół, a tak był ciężki, że Werner z największym wytężeniem sił nie mógł dokonać tego, by go ruszyć z miejsca.

Łóżko było wielkie i potwornie niezgrabne.

Chciał je inaczej ustawić, ale przekonał się, że żelaznemi klamrami przymocowane było do ściany. Bez odpowiednich narzędzi trudno było, ba, nawet niemożliwe, ruszyć je z miejsca.

Werner trząsł się z gniewu, widząc, jak chytrze z nim postąpiono.

Upór jego stawał się coraz zaciętszy.

— Nie ugnę się! — myślał, zaciskając zęby i pięści. Nie mógł pojąć okrucieństwa dziadka, żeby mógł pozwolić ostatniemu z rodu gnić pod ziemią. Zgrzytał zębami, myśląc o tem, jak cierpi zupełnie niewinnie.

Zbójcom, zdrajcom ojczyzny, dają przynajmniej światło i powietrze... mnie nie, — myślał — ale mimo to nic nie skłoni mnie, abym się wyrzekł Sylwii. Jak ona biedna musi się martwić o mnie, moja złota, droga, ukochana.

Na myśl o niej, łza zakręciła mu się w oku. Otarł ją prędko i tłumiąc słabość, rzekł stanowczo:

— Ty jednak będziesz moją.

Dzień w dzień oczekiwał powtórnego przybycia dziadka, lecz wciąż naprożno.

Nie widział nawet swego stróża.

Co nocy budziło go to, że się z powały z szybkością błyskawicy spuszczały kraty żelazne i z obu stron zamykały zupełnie jego łóżko.

Potem słyszał kroki w podziemiu, widział przez kraty światło, słyszał szum miotły, zamiatającej podłogę, ale na wszystkie pytania, prośby i zaklęcia nie otrzymywał żadnej odpowiedzi.

W rozpaczy trząsł kratę, ale ona była również niewzruszona, jak ten, do którego się odzywał. W gorączkowym niepokoju słyszał szmer podnoszonej do góry drabiny i kraty.

Światło znikało z dozorcą, drzwi na górze zamykały się, zostawiając mu mały otwór, przez który wpływało świeże powietrze.

Na stole znajdowała się świeża woda, na drewnianej tacy kilka kawałków pieczeni i chleb, w drewnianej miseczce kawa.

Głodu i pragnienia nie zaznał.

Woda górska, co dzień świeża, gasiła jego pragnienie, chleb i mięso zaspakajały jego głód, ale... są inne jeszcze męki niż głód i pragnienie, a te męki Werner cierpiał.

Ta straszna samotność, ta jednostajna ciemność, doprowadzała go do rozpaczy.

Gdyby miał jakiekolwiek zatrudnienie, jakąkolwiek robotę, byłoby to znośniejsze, ale ta straszna bezczynność dobijała go.

Byłby dał kilka lat życia za smugę światła, za widok małego skrawka nieba, za szum wody i traw.... a wokoło niego był tylko zimny, bezduszny głaz.

— Kto jest bardziej bez serca? — myślał sobie — czy mój dozorca, czy te mury?

Zabrali mu scyzoryk, nie dawali mu noża do jedzenia, ani talerzy, ani szklanek.

Obawiali się samobójstwa.

On nie zrobiłby tego.

Chciał żyć dla Sylwii.

Ponieważ całymi dniami nie miał ruchu, po nocach przeto nie mógł sypiać.

Niejedną noc przepędził w błogiej nadziei, że może właśnie teraz nadejdzie dziadek. Nie przeczuwał, że hrabia Herbert spoczywał już w grobowcu. Widząc, że nie ziszcza się jego nadzieja, myślał o ucieczce. Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby dozorca jego był na dole. Wtedy bowiem drzwi byłyby otwarte, a drabina spuszczona.

W tem wpadła mu myśl, żeby noc przepędzić nie w łóżku.

Wziął więc pościel z łóżka i rozłożył ją w drugim kącie więzienia. Tam się położył i czekał. Godzina upływała za godziną. Do niego nie nadchodziły żadne odgłosy ludzkie z góry. Był zupełnie odcięty od świata.

Słońce, ani księżyc, ani światło gwiazd nie miało tu przystępu. Był to grób. Westchnienie wyrwało mu się z piersi.

— Podczas, gdy ja tu gniję — pomyślał sobie — Sylwia może mnie posądzić o zdradę.

Ta myśl nie dała mu spokoju. Zerwał się i biegał po ciemnicy.

Nagle usłyszał szmer.

Instynktownie przytulił się do ściany i widział, jak się drzwi otwierają i zsuwa drabina. Alojzy zabierał się do spuszczenia na dół.

Z bijącem sercem patrzał nań Werner.

Postanowił jednak czekać, aż sługa będzie na dole, walczyć z nim i albo zwyciężyć go siłą, albo go przekupić, żeby mu ułatwił ucieczkę.

Alojzy spuścił drabinę do połowy, gdy bystry wzrok jego ujrzał hrabiego.

— O, — mruknął — mnie się jeszcze nigdy nie zdarzyło, żeby mi dziczyzna uciekła.

Głośno dodał:

— Panie hrabio, jeżeli się pan zaraz nie położy do łóżka, będę musiał wrócić, a pan będzie pościł przez całą dobę.

— Przyślijcie mi Gerharda.

— Nie zobaczę go tak prędko — odparł opryskliwie Alojzy.

— Masz pójść po niego natychmiast, rozkazuję ci! — wołał hrabia.

— Jaśnie pan wybaczy — rzekł Alojzy — ale Gerhard nie żyje.

— Nie żyje? — zawołał mocno zdziwiony hrabia Werner.

Nastała długa przerwa.

Nagle zawołał Werner w śmiertelnej trwodze:

— A dziadek? Chyba nie chory?

— Jaśnie pan wybaczy, ale jaśnie dziadek już 16 lipca zmarł.

Wieścią tą został hrabia Werner ugodzony jak piorunem.

— Dlatego dziadek nie przybywał. Umarł, nie pogodziwszy się ze mną.

ŚWIĘTO POLSKIEGO CIUŁACZA

Gromadzenie kapitałów postępuje różnymi drogami, najważniejsza jednak z nich — to oszczędzanie. Przyzwyczajenie społeczeństwa do oszczędzania uważane jest wszędzie — bez różnicy ustroju politycznego czy gospodarczego — za najwyższe zadanie o charakterze narodowym. Nawet w ustroju komunistycznym kładzie się nacisk na krzewienie zmysłu oszczędzania, o czym świadczy ogromny wzrost kas oszczędności w Rosji sowieckiej. W kapitalistycznej Anglii król Edward VIII wkrótce po wstąpieniu na tron objął protektorat nad akcją oszczędnictwa narodowego. W Stanach Zjednoczonych rok rocznie obchodzi się nie dzień oszczędności, a tydzień oszczędności narodowej, z udziałem władz, szkół i organizacyj społecznych. Prawie we wszystkich krajach zakłada się Szkolne Kasy Oszczędności, w myśl mądrej zasady, że tam, gdzie dziecko oszczędza, oszczędzaniem interesuje się cała rodzina.

W krzewieniu idei oszczędności społeczeństwo polskie stara się nadążyć za innymi krajami. Już dziś ciułacz polski zakorzenił się we wszystkich sferach naszego społeczeństwa. Fakt ten przypisać należy w przeważnej mierze pionierskiej pracy P.K.O. na polu krzewienia idei oszczędności. Co 14-ty obywatel posiada obecnie książeczkę oszczędnościową P.K.O., nie mówiąc już o innych instytucjach oszczędnościowych. Przy P.K.O. założono przeszło 8.000 S.K.O. skupiających około 600.000 młodych ciułaczy.

2.200.000 książeczek oszczędnościowych, 72.000 kont czekowych, około 850 milj. wkładów, 27 i pół miliardów złotych obrotów czekowych, w czym 21 miliardów złotych obrotów bezgotówkowych, 119.000 polis na ogólną sumę ubezpieczenia 179.000.000 złotych, 190.000 wpłat i wypłat dziennie — oto rezultat zaufania, jakim się cieszy P.K.O. wśród szerokich warstw społeczeństwa, rezultat sprężystej i najbardziej nowoczesnej organizacji, łatwości i różnorodności form oszczędzania.

Wściekły ból uczuł w sercu.

Ach, co byłby dał za to, żeby mógł jeszcze ucałować rękę dziadka i usłyszeć słowa zgody, nim śmierć rozłączyła ich na zawsze.

Teraz ostro ozwał się chrapliwy głos Alojzego.

— Panie hrabio, jeżeli pan nie pójdzie natychmiast do łóżka, będę musiał odejść z niczem.

— Alojzy — prosił hrabia — wypuść mnie. Powiedz mi szczerze i otwarcie, jaką korzyść macie z tego, że mnie tu trzymacie?

Alojzy potrząsnął głową.

— Kazałby mnie pan hrabia zamknąć! — rzekł pełen przekonania.

— Daję ci słowo honoru, że nie, przysięgam ci na mój honor szlachecki, że ujdziesz bezkarnie.

— Jaśnie pan wybaczy — rzekł Alojzy — tak pan tylko teraz mówi, ale jak się jaśnie pan wydostanie, to ja sam powędruję do dziury. Jaśnie pan przyrzeczenia nie dotrzyma.

— Dlaczego mi nie wierzysz, Alojzy? — spytał boleśnie Werner.

— Wierzę — rzekł Alojzy — ale takiego przyrzeczenia nikt nie może dotrzymać. Pan musi mnie nienawidzieć, a takiego, którego się nienawidzi, chciałoby się zniszczyć. Głupi byłbym pracować na nieszczęście swoje.

— Przysięgam ci — zawołał Werner uroczyście — że ci nic nie zrobię — raczej będę cię uważał za największego mego dobrodzieja, jeżeli mi dasz wolność. Ja cię...

Urwał nagle — gdyż drzwi z wielkim trzaskiem zapadły się.

Alojzy uznał za stosowne cofnąć się.

Gdy ostatni promyk światła znikł, znikła z nim ostatnia nadzieja Wernera.

Ogromna rozpacz ogarnęła go.

— Żywcem pogrzebany! — zawołał przeraźliwie — niewinnie wystawiony na najokropniejsze męczarnie, Boże, zlituj się nade mną i ześlij mi śmierć.

ROZDZIAŁ XXI.

W Czartowskim Jarze

Przez długi czas życie Sylwii wisiało na włosku, aż w końcu zwyciężyła młodość i zdrowa natura, którym przyszła z pomocą opieka lekarska i troskliwa pielęgnacja w domu.

Dziś po raz pierwszy Sylwia blada wypoczywała na fotelu, pod lipą, przed leśniczówką.

Smutno wyglądała jej twarz. Znikły rumieńce z wychudłych lic, przygasł blask tak pięknych niegdyś źrenic, bujny włos padł ofiarą noży lekarskich, głos niegdyś tak pełny i dźwięczny, był słaby i złamany, ręce kościste i przejrzyste opadały bezwładnie.

W obliczu tym malowała się męka i rezygnacja.

Świeże powietrze działało usypiająco na rekonwalescentkę.

Wesoły sen zaprzątnął jej myśl i pokazał narzeczonego.

Wnet jednak złudny obraz rozpłynął się w mgle.

— Nie opuszczaj mnie! — szeptała przez sen.

— Muszę — słyszała w odpowiedzi głuchym głosem wyrzeczone słowa — grób na mnie czeka, a wiesz, że jestem żywcem pogrzebany?

Drżące na całem ciele, zbudziło się nieszczęśliwe dziewczę.

Na jawie także nie myślała o niczem innem, jak tylko o nim.

Werner był zawsze pedantycznie słowny. Najmniejszego przyrzeczenia nigdy nie złamał.

Czyżby miał złamać pierwsze przyrzeczenie, dane narzeczonej?

Nie, to niemożliwe! Dał słowo Sylwii, że nie będzie przejeżdżał obok Czartowskiego Jaru.

Wzmagało się w niej niezłomne przekonanie, że on tego słowa nie złamał.

Wierzyła mu tak, jak własnym oczom.

I nagle w zdrowiu pacjentki nastąpiła dziwna zmiana.

Zmuszała się do jadła, do przechadzek, do przebywania na powietrzu i ściśle stosowała się do lekarskich wskazówek.

To też w trzy tygodnie była już prawie zupełnie zdrowa.

Pewnego poranka poprosiła Herberta o powóz.

Stary ucieszył się ogromnie i kazał natychmiast zaprzęgać.

— Jedziesz do miasta? — zapytał.

— Tak jest — odpowiedziała z dziwnym wyrazem energii w twarzy.

— Więc muszę ci dać coś na drogę — rzekł, dając jej złotówkę.

— Nuty chcesz kupić, czy książki?

— Nie.

— A co?

— To jest tajemnicą.

— Ach, to niespodzianka, dobrze, nie chcę ci psuć radości.

Sylwia westchnęła, ale nic już nie mówiła. Pani Magdalena zajęta była praniem, więc nie mogła jechać z Sylwią, dała jej tylko na drogę mnóstwo rad i wskazówek.

Jadąc, kazała się zawieźć do powroźnika. Chciała kupić długą linę, a ponieważ takiej nie było na składzie, więc zamówiła, dodając dla objaśnienia, że lina ma mieć w pewnych odstępach guzy na szerokość dłoni, że ma być silna i zapytała się, ile będzie kosztowała.

Powroźnik obliczył dokładnie. Sylwia zapłaciła mu natychmiast, każąc sobie ją przysłać, gdy tylko będzie gotowa, do leśniczówki.

Sylwia wsiadła do powozu i kazała się wieźć do domu z powrotem.

Woźnica zdziwił się, że panienka już wraca, nie używszy w mieście żadnej przyjemności. Nie ważył się jednak mówić. Myślał sobie tylko, że panna Sylwia jest całkiem inną od drugich panienek.

— I cóż, nie znalazłaś tego, czegoś szukała w mieście? — spytał leśniczy, widząc ją wracającą bez pakunków.

— Nie znalazłam, lecz kazałam zrobić — odpowiedziała Sylwia.

— — — — — — — —

Za dwa dni zjawił się w leśniczówce chłopak od powroźnika, niosąc na plecach w worku zamówioną przez Sylwię linę.

Przybywszy przed dom, zastał tam gospodynię domu, panią Magdalenę.

— Pan majster kłania się i przysyła panience linę — zaczął gadatliwie — ależ to ciężkie — narzekał. Kilka złotych dałbym teraz za szklankę piwa, takem się spocił.

— Co to za linę panienka obstalowała? — spytała zdziwiona Magdalena.

— Linkę na 75 metrów — objaśniał chłopiec — ja to czuję na plecach.

— Idź do kuchni i każ sobie dać śniadanie — powiedziała pani Magdalena, — a gdy chłopak odszedł, wyjęła z worka linę i zaczęła ją oglądać.

Zobaczywszy ją, domyśliła się zaraz, o co chodzi i zbladła jak trup.

Pojęła całe niebezpieczeństwo, na jakie chciała się narazić Sylwia i jęknęła z bólu.

Kochała Sylwię jak rodzona matka. Sylwia zastała ją we łzach i nie pytając, wiedziała co jest ich przyczyną. Uklękła obok niej, prosząc o przebaczenie i błogosławieństwo.

Wybacz — mówiła — lecz nie mogłam postąpić inaczej, zabija mnie niepewność i męka. Jeżeli się naocznie przekonam o tem, że...

Głos zamarł jej w gardle.

Kilka chwil walczyła ze sobą, potem rzekła z nienaturalnym spokojem:

— Jeżeli się przekonam naocznie, że Werner nie żyje, poddam się woli Bożej. Trupa jego wyciągnę na górę, żeby mu sprawić chrześcijański pogrzeb i będę żyła jak wdowa po nim. We wszystkiem będę wam posłuszną, z oczu będę wam odczytywać życzenia i spełniać je, ale tego mi nie brońcie.

Herbertowa była zrozpaczona.

Przedstawiała Sylwii, że to szaleństwo, że w przepaści tej noga ludzka nie postała, że najodważniejszy mężczyzna nie ważyłby się na coś podobnego. — A cóż dopiero ty — kończyła — słaba dziewczyna?

— Ja, mamo, kocham go — odpowiedziała Sylwia — i winnam mu to, aby dla niego nawet życie narazić. Kto, jeśli nie ja, będzie go szukał? — mówiła Sylwia, rumieniąc się, a oczy jej błyszczały zapałem.

— Możemy przecież wyznaczyć tysiączłotową nagrodę, a napewno znajdziemy kogoś, co się odważy za tę cenę spuścić w jar.

— Nie, matko, — odpowiedziała Sylwia stanowczo — nikomu tego nie powierzę. Ja chcę sama na własne oczy widzieć, czy ciało Wernera leży w czeluściach Czartowskiego Jaru.

— Na śmierć niechybną chcesz iść! — rozpoczęła Magdalena.

— Życie moje jest w ręku Boga, pobłogosław matko, muszę iść.

— Nie pozwolę na to — zawołała pani Herbertowa — to samobójstwo!

— Ach, matko — odparła biedna dziewczyna — za bardzom nieszczęśliwa, abym miała tak wcześnie zginąć. O, nie, ja mój krzyż, moje nieszczęście, będę dźwigać przez długie lata! Z pewnością doczekam się późnej starości. Ale jestem chrześcijanką i poddaję się woli Bożej.

— Jeżeli Werner nie żyje, dochowam mu wierności aż do śmierci. Tylko, że wciąż jakiś niestłumiony głos woła we mnie: Werner żyje! Gdy ciała jego nie znajdę w przepaści Czartowskiego Jaru — mówiła dalej — będzie to dla mnie promykiem świeżej nadziei.

— A jeżeli powróz zetrze się na ostrych krawędziach skał, a ty zlecisz w otchłań i zabijesz się?

— Wtedy w życiu pozagrobowem połączę się z człowiekiem, z którym nie mogłam się połączyć na świecie i dno Czartowskiego Jaru będzie naszym wspólnym grobem — odpowiedziała Sylwia, patrząc promiennym wzrokiem.

Z oczu jej biło tak niezłomne postanowienie, że Herbertowa z głębokim bólem widziała, że dziewczyna nie da się odwieźć od raz powziętego zamiaru.

— A więc on ci jest milszy niż ojciec i matka? — zawołała z wyrzutem. — Tak mało sobie robisz z naszej trwogi, naszej bezgranicznej boleści? Wszystkie myśli i dążenia, uczucia i pragnienia kręcą się koło niego. Czem on jest dla ciebie?

Pielęgnowaliśmy cię i strzegliśmy jak oka w głowie. Tylko dla ciebie pracowaliśmy i oszczędzaliśmy, nie znaliśmy innego szczęścia nad to, aby tobie dać szczęście w dzieciństwie i pełną radości młodość, a ty zamiast nam dziękować, zamiast nas kochać całem sercem, oddajesz serce obcemu.

Sylwia ucałowała ręce rozżalonej i zirytowanej matki i prosiła ją błagalnym głosem:

— Kochana matko, nie gniewaj się na mnie. Przecież i ty opuściłaś ojca i matkę, aby wyjść za tatka. Przecież to odwieczne prawo, że kobieta opuszcza ojca i matkę, dom, ojczyznę, krewnych i przyjaciół, aby pójść za mężem.

— Kochałaś sama Wernera — ciągnęła dalej Sylwia — a mnie możesz za złe brać, żem go kochała? Gdyby tatko był na miejscu Wernera, czy postąpiłabyś inaczej, niż ja?

Pani Herbertowa spuściła oczy.

Musiała Sylwii przyznać rację.

— Tatko nie pozwoli na to! — rzekła wreszcie z ulgą na myśl o tem, że jednak coś jeszcze może ją powstrzymać od wykonania szalonego planu.

— Dobry tatko zawsze tylko miał moje szczęście na oku — z wdzięcznością odrzekła Sylwia — on i teraz nie będzie mi tego wzbraniał. Zarządziłam już wszystko. Ciężary ołowiane, które mają ściągać na dół i winda, która ją będzie spuszczać, już są przygotowane. Czterech silnych mężczyzn przyrzekło mi, że mnie będą spuszczać.

— Nieszczęsna! — zawołała pani Magdalena załamując ręce — własnemi rękami wykopałaś sobie grób.

— Mateczko — rzekła Sylwia uroczyście — tylko myśl o tem, że będę miała pewność, czy Werner żyje, czy nie, dała mi siłę do życia po tem nieszczęściu!

— A jeżeli go tam nie znajdziesz — zapytała drżąc Magdalena — co wtedy zrobisz?

— Będę go szukać, póki nie znajdę — odpowiedziała piękna dziewczyna, a słowa jej brzmiały tak uroczyście, jak przysięga — idę się pożegnać — rzekła po chwili.

— Ja z tobą — rzekła Magdalena.

Herberta znalazły w swoim pokoju, siedzącego nad jakimiś rachunkami.

Gdy weszły te dwie osoby, które mu były najdroższe na świecie, Herbert podniósł głowę z nad ksiąg. Po wyrazie twarzy małżonki poznał, że była bardzo wzruszona.

— Co się stało? — zapytał.

— Mam wielką prośbę do ciebie, ojcze — rzekła Sylwia — i tylko twoja wielka miłość dla mnie daje mi odwagę, żeby ją wyjawić.

— Mów — rzekł Herbert.

— Drogi ojcze — mówiła piękna dziewczyna. — Głos wewnętrzny mówi mi, że Werner nie zginął, że nie leży w Czartowskim Jarze. Aby się upewnić, chcę się dziś spuścić na dno przepaści.

— Co? — zawołał Herbert z trwogą — na to nie mogę pozwolić.

— Więc ja umrę — jęknęła Sylwia — bo ta niepewność zabija mnie.

— Nie — rzekł leśniczy stanowczo — ja sam spuszczę się tam na dół.

— Przenigdy! — rzekła Sylwia.

Ojcze — płakała Sylwia — tego mi nie odmówisz!

— Ja jestem stary — odpowiedział leśniczy — co tam komuś po mnie. Nie długo już zresztą pożyję. Rok prędzej czy później to wszystko jedno, ty zaś jesteś młoda, ciebie byłoby szkoda.

— Nie, ojcze — rzekła Sylwia — nie mogę pozwolić na to, żebyś się za mnie poświęcał. Dla ciebie niebezpieczeństwo jest większe, jesteś o wiele cięższy, niż ja, powróz pod twym ciężarem może się urwać. Ja zaś jestem lekka i zręczna. Niebezpieczeństwo dla mnie jest mniejsze.

Jeżeli mnie więc kochasz, drogi ojcze, to nie odmówisz mi pozwolenia i błogosławieństwa.

I zaczęła prosić, pochlebiać, aż wreszcie Herbert uległ, chociaż z bólem.

Tak zeszedł czas do południa.

— No, teraz już jest najwyższy czas — rzekła Sylwia — bo teraz słońce stoi tak, że oświeca sam „Wilczy Dół".

Posłała po tych ludzi, których zamówiła sobie do pomocy i wnet cały orszak poważnie, w uroczystym nastroju wyruszył w drogę.

Cała drużyna zaopatrzyła się w potrzebne przyrządy ratunkowe.

Wieść o szalonym zamiarze Sylwii, szybko rozeszła się po wsi.

Ze wszystkich stron ciągnęły tłumy ciekawych, aby widzieć niezwykłą scenę.

Zwykle, gdzie się zbiera dużo ludzi, tam rozmowy, żarty i śmiechy nie są wykluczone. Ale tu panowało głębokie, smutne milczenie, zupełnie jak podczas pogrzebu ukochanej osoby. Pani Herbertowa płakała rzewnie, powtarzając:

— Zupełnie jak pogrzeb, jakby pogrzeb...

Nad brzegiem przepaści ustawiono windę i powróz, nawinięty na nią, a nieustraszona Sylwia poczęła się żegnać.

Wtem ujrzała księdza, który z kościelnym zbliżał się do tłumu.

Poszła naprzeciw niego i w krótkich słowach opowiedziawszy mu o swym zamiarze, prosiła go o błogosławieństwo.

Ksiądz opowiadał, że był u umierającego. Jakiś biedny chłopiec, ścigający kozła po skałach, potłukł się śmiertelnie. — Kapłan przyszedł zapóźno, chłopak nie żył.

Wobec tego rzekł:

— Mogę tobie, moje dziecko, udzielić Przenajświętszych Sakramentów.

Sylwia uklękła.

Zielone wzgórze służyło za konfesjonał.

Był to wzniosły moment, którego rzeczywistość odbiła się na wszystkich twarzach.

Ksiądz wysłuchał jej spowiedzi i podał jej potem św. Hostię.

Wzmocniona wstała Sylwia, kapłan błogosławiąc ją, zrobił nad jej głową znak krzyża i rzekł:

— Oddaję cię Boskiej opiece.

Sylwia milcząc, uścisnęła ojca i matkę.

Herbert obwiązał ją w pasie końcem powroza, ona modliła się w duchu.

Powoli spuszczano windę.

Dziewczyna wisiała między niebem, a ziemią.

Widzowie upadli na kolana i modlili się.

Pani Magdalena pochyliła się tak nad przepaścią, że ją przemocą odciągnięto.

Upadła na kolana, a oczy jej z wyrazem śmiertelnej trwogi szukały w dole pupilki.

Widziała nieraz, jak wystające krawędzie skał groziły Sylwii śmiercią.

Słowa modlitwy dziękczynnej wychodziły z jej ust, gdy Sylwia ominęła szczęśliwie jedną i drugą taką przeszkodę.

— Módlcie się, kochani ludzie! — prosiła, gdy sznur przesuwał się tuż obok ostrej krawędzi skalnej i gdy wszyscy oczekiwali, że lada chwila odezwie się z otchłani śmiertelny okrzyk dziewczęcia.

Oczy wszystkich odprowadzały ją na dół.

Wszyscy modlili się po cichu, potem głośniej ozwała się modlitwa dziękczynna, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Teraz krzaki rosnące wewnątrz przepaści ukryły ją przed oczyma patrzących.

Śmiertelna trwoga odmalowała się na twarzy pani Herbertowej.

— Na miłość Boską, bądźcie ostrożni — szeptała do ludzi pracujących przy windzie — jedno nieostrożne poruszenie może ją przyprawić o śmierć.

— Niech się pani nie lęka — brzmiała pocieszająca odpowiedź — spuszczamy powróz tak pomału, jak tylko można.

Nieustraszona Sylwia jeszcze wciąż była ukryta za krzakami.

— Sylwio, gdzieś ty? — wołała pani Magdalena w śmiertelnej trwodze.

— Jestem tu — dał się słyszeć głuchy głos Sylwii z dołu.

— Dzięki Bogu, żyje — westchnęła ciężko Magdalena.

Słychać było ćwierkanie koników polnych i brzęczenie owadów, pośród traw i kwiatów.

Powróz prawie już się kończył.

Nagle czuli ci, co go spuszczali, że nie był już naprężony, tylko wolno zwisał.

— Oho, już jest na dole i odwiązała sznur — rzekł jeden z nich.

— Teraz rzuca ciężarki — mówił drugi, gdy dał się słyszeć głuchy łoskot, pochodzący stąd, że Sylwia rzuciła na skałę kawałki ołowiu.

— Jeżeli go teraz tam znajdzie — rzekła pani Magdalena — to wszystko przepadło, bo będzie taka zrozpaczona, że gotowa zapomnieć o wszelkiej ostrożności.

— Niech pani ufa Bogu — pocieszał ją ksiądz On ją ochroni.

Czekano dłużej niż pół godziny.

Nareszcie Sylwia dała znak umówiony, żeby ją wyciągnięto.

Powstrzymując oddech czekano na jej ukazanie się na górze.

Nareszcie zobaczyła ją pani Magdalena i krzyknęła radośnie, a okrzyk ten odbił się echem kilkakrotnie w górach.

— Żyje — powstał szmer w tłumie i radość odbiła się na twarzy tych prostaczków.

— Ręce ma pokrwawione, suknia jej postrzepiona — lamentowała pani Magdalena — o Boże, jaki cieńki jest miejscami sznur. Tak się wytarł na skałach. Urwie się. Boże litościwy, ratuj ją!

Ciąg dalszy nastąpi.

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

6)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— O, już wiem! — wykrzyknęła prawie. — Maskuje się przed ojciem. Nie chce, aby ojciec przedwcześnie utwierdził się w domysłach co do jej uczuć, więc udaje obojętną, a nawet więcej, bo udaje, że lekceważy sobie młodzieńca... Ale ocho! Nie ufaj tak sobie Janeczko, bo może znaleźć się „ktoś", co może odbić tobie pięknego chłopca.

I roześmiawszy się głośno, szybko zbiegła z reszty schodów i, przebywszy w kilku skokach korytarz, wybiegła na taras.

Przed willą stali panowie, niecierpliwiąc się długiem czekaniem.

— No, nareszcie — zawołał pan Krański, ujrzawszy wychodzącą Irenę. — Moje panny, długo nam każecie czekać...

— Och, wujaszku. Jam już dawno gotowa do drogi.

— A Janka?

Irena odczuła na swych ustach pytający wzrok Zdzisława.

— Janka znajduje się w swoim pokoju — odrzekła. — Niech wujek wyobrazi sobie, nie chce iść na wycieczkę.

— Co jej się znowu stało?

— Głowa ją boli troszeczkę,. więc utrzymuje, że dla niej lepiej będzie, gdy pozostanie w domu.

— No, patrzcie państwo. Przed godziną była zupełnie zdrowa... Chyba musiała mieć inny powód, aby nie iść z nami...

— Nie wiem, choć takie przypuszczenie wydaje się mocno prawdopodobne — odparła Irena.

— Jakiż to powód mogłaby mieć panna Janina? — zapytał zdziwiony Tulczyński.

Irena podniosła na niego oczy. Młody literat zwrócony był w stronę Zdzisława, mierząc go badawczym wzrokiem. Oczy jego błyszczały źle tajonym tryumfem, a na sinych wargach błąkał się nieznaczny uśmiech.

Skolei dziewczyna przeniosła wzrok na Zdzisława.

Młodzian stał nieruchomo ze zwieszoną na piersi głową. Niezwykle przybladła twarz i aż do krwi prawie zagryzione usta, zdradzały uczucie, jakie wywołała wiadomość o uchyleniu się Janki od wzięcia udziału w wycieczce, którą przedsięwzięto dzisiaj właśnie z jego inicjatywy.

— Jednak coś między nimi zajść musiało — myślała Irena, z poza rzęsów obserwując Zdzisława. — W tej chwili wygląda wprost tragi - komicznie. Jest przygnębiony i równocześnie zafrasowany. Żal mi go. Nie pojmuję, jak Janka może sprawiać mu tyle przykrości, kochając go. I z jakiego powodu...? — Postaram się go wybadać i usunąć przeszkodę, jaka stanęła nagle między nimi — dodała w duchu. — Oczywiście, jeśli da się ją usunąć, o czem jednakże nie wątpię.

Przez chwilę milczeli wszyscy.

Wreszcie pan Krański zwrócił się do młodych ludzi.

— No, panowie, nie ma powodu dłużej marudzić — rzekł. — Idziemy zatem w czworo tylko.

A kiedy uszli już kilka kroków, dodał wyjaśniająco:

— W takich kwestiach nie wymagam nigdy od córki wyjaśnień. Pozostawiłem jej zupełną swobodę we wszystkiem, więc i teraz nie wypada mi nalegać na nią, aby zmieniła swoje postanowienie.

— Zwykły kaprys niewieści — rzucił jakby ironicznie Tulczyński.

— Choćby i zwykły kaprys — odparł chłodno pan Krański. — Ale to wcale nie zmienia moich zapatrywań na tę sprawę. Janka ma już przecież lat dwadzieścia. Chce iść z nami — dobrze. Nie chce iść — jej sprawa. Pozostawiłem jej wolną rękę we wszystkiem, z jednem tylko zastrzeżeniem...

— O, jest także warunek? — zawołał, śmiejąc się Tulczyński.

— Tak. Maleńki waruneczek.

— Można wiedzieć jaki?

— Ależ naturalnie, jeśli to pana ciekawi. To nie jest żadna tajemnica. Warunek jest taki, że moja córka nie wyjdzie nigdy zamąż za człowieka, którego ja nie będę chciał mieć za zięcia.

Zdzisław przystanął nagle, zwracając na mówiącego pobladłe oblicze.

Pan Krański nie zwrócił na to uwagi.

Jedynie Tulczyński zaśmiał się.

— Warunek taki niejednokrotnie bywa okrutny dla młodych panienek — rzekł wesoło. — Pewnie dlatego też zdziwił tak pana Donieckiego.

Z ukosa spojrzał na Zdzisława i na jego ustach zaigrał szyderczy uśmiech.

Był to niejako przytyk, ale Zdzisław uważał za najlepsze puścić go mimo uszu. Był wzruszony i zmieszany, a obawiał się, że brzmieniem głosu zdradziłby stan swojej duszy.

Irena domyślała się tego i... na złość literatowi, pospieszyła mu z pomocą.

— Serce nie sługa, nie zna co to pany..." — zanuciła początek znanej piosenki i zwróciła się do pana Krańskiego: — A wie wujek, że czyjemuś sercu nie można rozkazywać?... Gdy w czyjemś sercu zrodzi się przyjaźń, albo miłość do osoby tej osoby lub też innej płci, trudno żądać od tego, aby brutalnie wyeksmitował to uczucie ze swego serca, a zastąpił je podobnem uczuciem, ale skierowanem do innej osoby, która jest mu conajmniej obojętną. Żądanie takie byłoby egoistyczne, okrutne. Człowiek, który prawdziwie kocha, odrzuci takie żądanie, choćby ono pochodziło ze strony rodziców, a gdy mu ulegnie, to zazwyczaj przez całe życie pozostaje nieszczęśliwy.

— A to mi filozof dopiero! — zaśmiał się pan Krański, z upodobaniem wpatrując się w ładną twarzyczkę dziewczyny. — Filozof w spódnicy i do tego z twarzyczką dziecka!

— To nie filozofia, wujku — odparła panienka, mocno zarumieniona, czując na sobie pełen podziwu i wdzięczności wzrok Zdzisława. — To rzeczywistość, poparta niezliczonymi dowodami. Bo jakże można od kogoś żądać, aby darzył miłością człowieka, którego sam widok wzbudza uczucie zupełnie przeciwne?! Rodzice, którzy dla marnych korzyści materialnych zmuszają swe dzieci do małżeństwa wbrew ich woli, popełniają — że się tak wyrażę — okrutny błąd, którego skutki ponosić muszą ich dzieci. A los takich dzieci nie jest godny pozazdroszczenia. Bardzo często życie ich jest złamane...

— Jednakże nie zawsze tak bywa — zamruczał Tulczyński.

Zdzisław przeszył go piorunującem spojrzeniem.

— Pan literat, zwykle skrajny pesymista, dzisiaj ustosunkował się przychylniej do... „zmaterializowanego rodzaju ludzkiego" — syknął ironicznie.

Tulczyński odwrócił się. Spojrzenia ich się skrzyżowały.

— Pan się myli — odparł swobodnie literat. — O, nie! Nie jestem pesymistą, ale też nie entuzjazmuję się każdą rzeczą. Mając poza sobą dość bogate doświadczenie życiowe, zapatruję się na świat i ludzi bardzo trzeźwo, bez różowych szkiełek...

— Ale za to przez czarne — mruknął Zdzisław, robiąc aluzję do ciemnych szkieł dużych okularów, jakie zawsze nosił Tulczyński.

Irena dosłyszała go. Popatrzyła uważnie na młodzieńców i, zdaje się, że umyślnie przyspieszyła kroku, wysuwając się naprzód. Dziwiło ją niezmiernie, że zdania młodych ludzi różniły się zaw-

sze, zapatrywania ich prawie we wszystkiem były przeciwne. Czyżby to był ciągle tylko prosty przypadek?...

Odwróciła się nagle.

— Panie Doniecki — zwróciła się do Zdzisława.

— Pragnęłabym zamienić z panem kilka słówek...

Zdzisław spojrzał na nią bystro i przysunął się do niej skwapliwie.

— Służę pani.

Irena wsparła się na jego ramieniu i w milczeniu przyspieszyli kroku.

— A to filut dziewczyna! — zaśmiał się pan Krański, który z literatem pozostał nieco w tyle.

Tulczyński milczał. Twarz jego powlokła się chmurą zadumy.

Rozdział VI.

MIŁA INTERWENCJA

Irena, wsparta na ramieniu Zdzisława, ciągle przyspieszała kroku. Odległość między nimi, a panem Krańskim i towarzyszącym mu literatem, wynosiła już kilkadziesiąt metrów, a ona milczała ciągle, jedynie z pod oka obserwując wyrazy twarzy młodzieńca.

Jakkolwiek Irena była rezolutną i śmiałą dziewczyną, to jednak w decydującej chwili odbiegła ją zwykła odwaga i śmiałość. W tem niejako sam na sam z młodzieńcem, czuła się dziwnie onieśmielona i niezdecydowaną. Miała zamiar wybadać Zdzisława i, zręcznie manewrując pytaniami, poznać przyczynę nagłej zmiany w zachowaniu się Janki, ale czując na sobie jego badawcze, nieco zdziwione spojrzenie, mieszała się, sama nie wiedząc dlaczego.

Zdzisław milczał także. Raz i drugi oczy jego spoczęły dłużej na jej zarumienionej twarzyczce, a wtedy przed oczyma jego wyobraźni stanęła wysmukła postać innego, jasnowłosego dziewczęcia, którego obraz już od roku nosił w swem sercu...

Brwi jego ściągnęły się silnie.

Dlaczego Janka zlekceważyła dzisiaj jego prośbę? — wróciły na nowo wspomnienia. — Dlaczego go ignoruje? Czyżby obraził ją wczoraj tym jednym, jedynym pocałunkiem?!... Że też uległ tej ponętnej pokusie!

Spochmurniał i głowę zwiesił na piersi.

— Moja wina — myślał w zadumie. — Ale czyż to jest tak wielka wina? Przecież się kochamy, a gdzie jest miłość, muszą też być i pocałunki...

Kiedy po chwili uniósł głowę, napotkał utkwiony w siebie przyjazny i niemal współczujący wzrok dziewczyny.

Czyżby odgadła jego myśli?!... Poznała jego frasunki?...

Zdzisław w jednej chwili wrócił do równowagi. Nie, za nic w świecie, nie powinien zdradzić się ze swemi uczuciami. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że między nim, a Janką zaszło nieporozumienie. Jeśli Jankę obraził, to dziś jeszcze ją przeprosi i już nic nie zamąci ich przyjaźni, a kto wie... może nie tylko samej przyjaźni?...

Szybko więc wyprostował swą postać i rozpogodził twarz.

— Pan chciał ze mną pomówić? — przypomniała swobodnym głosem.

Irena spuściła oczy pod jego badawczym spojrzeniem.

— Tak — odrzekła. — To jest... pragnęłam zapytać się pana, czy...

— Czy...?

— Obawiam się, że moja śmiałość może być za wielka.

Zdzisław roześmiał się.

— O, wcale nie — rzekł. — Właśnie przeciwnie. Jest pani dzisiaj mniej śmiałą, niż zwykle. Może pani mówić otwarcie. Proszę nawet o to. Nie jestem zarozumiały, a cenię bardzo szczerość, choćby ona miała być nawet przykrą.

— To rzeczywiście może być dla pana przykre...

— Niech pani wypowie się śmiało. Chyba to nie jest dla mnie nic strasznego? Jestem przekonany, że przez pani usteczka nie przeszłoby żadne kłamstwo, ani słowo, które obrażałoby moją godność osobistą.

Irena zmieszała się widocznie.

— O, nic podobnego! — zawołała pospiesznie. — Ja tylko chciałam porozmawiać z panem, jak...

— Jak z przyjacielem...

— O, właśnie. Doskonale to pan określił. Tak, jak z przyjacielem...

— ... przyjaciel — uzupełnił Zdzisław. — Bo wszak mogę poszczycić się pani przyjaźnią, prawda?

Skinęła głową potakująco.

— Zatem słucham.

Po krótkiem wahaniu, Irena zaczęła cicho:

— Ja tylko chciałam zapytać się pana czy... czy i o co pan pogniewał się z moją kuzynką?...

Zdzisław drgnął gwałtownie. Spojrzał na dziewczynę wzrokiem zdumionym, ale zarazem dziwnie surowym.

— Z czego to pani wnosi? — zapytał więcej oschle, niż tego pragnął.

Irena spostrzegła jego nagłą oziębłość i zawahała się powtórnie. Ale rozmowa była rozpoczęta i nie sposób już było się cofnąć. Należało więc kontynuować ją dalej.

— Z bardzo wielu rzeczy — odparła na jego zapytanie. — Obserwując pana, doszłam do pewnego wniosku, który dotyczy zarówno pana, jak i mojej kuzynkę. Pan się dziwi? Prawda, jestem jeszcze bardzo młodą i niedoświadczoną, ale mam dobre oczy, które umieją patrzeć i obserwować. I tak od wczoraj nie mogę zrozumieć wiele szczegółów... Zachowanie się Janki, a po części także i pana, dało mi do zrozumienia, że między nią a panem musiało mieć miejsce jakieś nieporozumienie.

— A gdyby pani się myliła? — zapytał głosem, w którym drgnęła nuta podziwu nad jej spostrzegawczością.

— W takim razie byłabym spokojną. Ale niestety tak nie jest. Wiem to dobrze. Ten pan Tulczyński jest wprost nieznośny ze swymi docinkami, wysyłanymi pod pana adresem. I on musi się chyba domyślać...

— Czegoż miałbym się domyślać?...

Irena podniosła na niego ciemne źrenice. On patrzał na nią poważny, z fałdą na czole i odrobiną smutku w zagięciu ust.

— Panie Doniecki, niech pan odpowie mi szczerze: kocha pan Jankę?

— Ja?... Czy kocham pannę Jankę?!...

Przystanął. Zwrócił ku dziewczynie niezwykle bladą twarz i utkwił w niej oczy, które zajaśniały silnym blaskiem.

— Czy ja kocham pannę Jankę? — powtórzył raz jeszcze, ale już tak cicho, że ledwo można było go dosłyszeć.

— Takie jest moje pytanie... Jestem może zbyt zuchwałą, ale... pan sam powiedział, że jesteśmy przyjaciółmi, a ja... pan wie... mam troszeczkę wpływu na Jankę i może mogłabym panu dopomóc... Niech więc pan odpowie mi zupełnie otwarcie. Umiem, gdy tego potrzeba, zachować milczenie.

Zdzisław drżał wewnętrznie. Wzrok jego długo spoczął na zarumienionej twarzyczce dziewczyny.

— Dobrze, powiem pani — rzekł wreszcie. — Czy ja kocham pannę Jankę?... To mało. Uwielbiam ją nieskończenie! Miłość moja zrodziła się od pierwszego spojrzenia, kiedym ją przed rokiem zobaczył w ogrodzie. Kocham ją szalenie, całą siłą mej duszy i już nie umiałbym sobie wyobrazić życia bez niej...

— A ona?

— Nie wiem jeszcze. Panna Krańska jest dobrą i zawsze serdeczną dla mnie i darzy mnie przyjaźnią, ale czy odwzajemni się podobnem, jak mo-

Ciąg dalszy na stronie 835.

je, uczuciem? Obawiam się, że nie zdołam wzbudzić miłości w jej sercu, a ta niepewność przeraża mnie i odbiera zwykły spokój...

Nieznaczny uśmiech ukazał się na ustach dziewczyny.

— Wczoraj rzeczywiście zaszedł między nami mały incydent — ciągnął dalej Zdzisław. — Nie powiem jaki. Zaznaczę jedynie, że ja tylko sam zawiniłem. I dzisiejsze zachowanie się panny Krańskiej dało mi do zrozumienia, że gniewa się na mnie z tego powodu i, że chyba wcale mnie nie kocha, a ja... o! — ja nie zniósłbym tego!

Głos jego zadrgał żałośnie, a mięśnie twarzy skurczyły się pod wrażeniem bólu, jaki przeszył serce na samą myśl utraty Janki.

Irena przez chwilę obserwowała go uważnie, a w jej oczach zamigotał osobliwy blask.

— Panie Zdzisławie — rzekła cicho. — Powiem panu coś, co powinno pana niezmiernie ucieszyć. Wiedz pan, że Janka kocha pana. Sama mi to powiedziała nie dalej, jak wczoraj dopiero...

— O, pani! Prawda - li to tylko?

— Najczystsza prawda. Jako przyjacielowi pragnę panu dopomóc w tej sprawie, bo wiem, że pan jest szlachetnym człowiekiem. Wiem, że pan może mieć tylko poważne zamiary i... będzie pan dobrym mężem dla Janki. Zaś z drugiej strony, nie znajdzie pan lepszej żony niż moja kuzynka.

— Ach, panno Irko! Dwa dni znamy się dopiero, więc nie wiem, czemże zasłużyłem sobie na tyle dobroci z pani strony?

— Sama nie wiem — roześmiała się. Może dlatego, że jest pan ze mną szczery i... że lubię pana.

— Nie wiem w jaki sposób będę mógł odwdzięczyć się pani — rzekł, patrząc na nią wzrokiem, który wyrażał wdzięczność bezgraniczną.

— Zawsze być dobrym dla Janki — szepnęła, unikając jego wzroku.

Nie wiedząc dlaczego, mieszała się zawsze, ile razy oczy młodzieńca spoczęły na jej postaci. Czyżby jego piwne, błyszczące oczy, miały w sobie jakąś potężną siłę, że wywierały tak dziwny wpływ na jej osobę. Przecież jego wzrok nie był nigdy wyzywającym, ani choćby lekko zaczepnym? Oczy jego wyrażały tylko słodką podziękę i braterską przyjaźń...

To jedynie wiedziała, że te piwne, błyszczące oczy wywierają na niej jakiś dziwny urok i podobają się jej szalenie.

Zdzisław był w tej chwili za bardzo wzruszony, aby mógł jej zaraz odpowiedzieć. Długo wpatrywał się w oczy dziewczyny, jakby chciał wyczytać ukryte w głowie myśli, potem bez słowa wziął jej rękę i podniósł do swych ust.

Irena zapłoniła się, a serce jej poczęło szybko, coraz szybciej uderzać. Jej duszą owładnęło tajemnicze, nieznane dotąd uczucie.

Dlaczego ten niewinny, wyciśnięty na jej ręce, pocałunek, zrobił na niej aż takie wrażenie?

Powiedzmy otwarcie, że Irena odczuwała coś więcej, niż „braterską przyjaźń" dla młodzieńca. Zdzisław zrobił na jej, marzycielskim z gruntu umyśle, bardzo silne wrażenie i gdyby była rywalką Janki, kto wie, coby stało się w dniach najbliższych.

Ale ona nie myślała zdradzać kuzynki. Jeśli kiedykolwiek w mózgu jej zrodziła się myśl, że mogłaby odbić Jance tak urodziwego chłopca, to odrzucała ją precz od siebie, jako podszept złego ducha. Nie mogła i nie chciała dopuścić, aby w jej sercu powstało coś więcej, niż szczera sympatia i gorąca, lecz braterska przyjaźń dla młodego człowieka.

I w tej chwili, kiedy jej serduszko poczęło przepełniać dziwne i tęskne uczucie, całą siłą swej woli stłumiła je natychmiast. Wysunęła też rękę z dłoni młodzieńca i spuściła oczy, kryjąc poza powiekami ich płomień.

Może... może gdzieś na samym dnie jej serca ukryta żyłka zadrgała bólem i cichym żalem do młodzieńca, że nie na nią padł jego wybór... Któż to wybada?... Któż odgadnie?...

Krótko trwało zmaganie z opanowującym ją uczuciem. Wnet podniosła na Zdzisława oczy i choć w nich lśniło coś, jakby łzy, roześmiała się głośno.

— Czy panu nie przyszło na myśl, coby powiedziała Janka, gdyby ujrzała pana z takim zapałem całującego ręce młodej kobiety? — zapytała nieco karcącym tonem, opierając się na jego ramieniu i zmuszając go do dalszej drogi.

Zdzisławowi zabłysły oczy.

— Nie wiem, co powiedziałaby Janka. Może powiedziałaby, że ma kuzynkę, której dobroć serca równa się jej zewnętrznej urodzie... Ale wie pani, panno Iruś? Gdybym wprzód nie poznał Janki, pani byłaby jedyną kobietą, którąbym mógł pokochać prawdziwą miłością...

Chmurka przeszła przez twarz dziewczyny.

— O, niech pan nie żartuje w ten sposób! — upomniała go poważnie. — Tak mówić nie można. Czyż Janka nie jest piękną dziewczyną? A serce jej ze szczerego złota?...

— O, tak — potwierdził z zapałem. — Obok pani, panna Janka jest najpiękniejszą i najczarowniejszą kobietą na świecie!

Przymknął oczy. Z poza gęstych rzęs, wyłoniła się miła twarzyczka Janki. Wyraźna, omal, że żywa... Jest więc to wszystko prawda, co powiedziała mu ta miła dziewczynka? Czy Janka go naprawdę kocha?... Dlaczego jednak nie chciała uczestniczyć w wycieczce? Przecież to był jej projekt!

Irena kilka razy zatrzymała swój wzrok na twarzy młodzieńca, a widząc ją skupioną w głębokiej zadumie, milczała także.

A Zdzisław przeniósł się właśnie myślami o rok wstecz, kiedy to powracał z podobnej, jak ta, wycieczki. Ale wówczas miał obok siebie Jankę Krańską. I teraz myślał, że będzie podobnie i już naprzód obiecywał sobie, że znajdzie sposób, aby choć przez chwilę znaleźć się z nią sam na sam, gdy tymczasem...

Uszli kilkaset metrów.

W pewnej chwili dojrzeli dwóch mężczyzn, stojących nad jeziorem. Rozmawiali o czemś z ożywieniem, wskazując rękoma w stronę wioski, to znowu w przeciwnym kierunku — w stronę lasów.

Kiedy młoda para zbliżyła się, rozmawiający przerwali zajmującą ich dyskusję i równocześnie zwrócili ciekawe oczy w kierunku nadchodzących. Wtedy obie strony obrzuciły się błyskawicznymi, lecz uważnymi spojrzeniami.

Byli to młodzi jeszcze ludzie: jeden miał około czterdziestu lat, małego wzrostu, był miejscowym nauczycielem; drugi natomiast był brunetem, więcej niż średniego wzrostu, mogący mieć najwyżej dwadzieścia osiem lat.

Zdzisław obrzucił ich trochę roztargnionym spojrzeniem, lecz kiedy jego oczy dłużej zatrzymały się na nieznajomym młodzieńcu, drgnął widocznie. Zdawało się mu, że skądś zna tę elegancką sylwetkę. Czyżby już przedtem gdzieś go widział?

Raz jeszcze obrzucił go uważnem, prawie natarczywym spojrzeniem.

Oczy nieznajomego młodzieńca przesuwały się z zachwytem po zgrabnej, wysmukłej postaci dziewczyny i dłużej spoczęły na jej świeżej twarzyczce, okolonej lokami czarnych włosów, wymykających się z pod ładnego kapelusika.

Zkolei wzrok jego spoczął na Zdzisławie i znieruchomiał na sekundę. Oczy jego wpiły się w oblicze Zdzisława, a na twarzy odmalowało się wielkie zdziwienie. Odruchowo postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę, jakby pragnął powstrzymać idącą parę, lecz napotkawszy, utkwiony w siebie zdziwiony wzrok dziewczyny, zatrzymał się w miejscu.

6)

Radość życia

powieść

A skrzep nerwu prawego ramienia? Minął oddawna. Moje ramię jest teraz daleko zdrowsze i daleko silniejsze, niż było kiedykolwiek przedtem.

I dusza moja, zatrutą bakcylami cywilizacji, wyleczyła się również, ozdrowiała.

Zdążam do brzegu. Już teraz widzę Niobe całkiem wyraźnie i nawet słyszę, choć jeszcze niewyraźnie, jej głos, którego wspaniały timbre dzwoni mi w uszach baskadami najcudniejszych dźwięków.

— Bywaj, Sew, bywaj!

— Hop! hop! Jak się czujesz, Niobe?

— Wieczór nadchodzi — wracaj prędko.

Za chwilę wyskakuję na brzeg i wyciągam moją łódź na ląd. Następnie całuję dłonie Niobe, obejmujemy się ramionami wzajem i podążamy do naszej chatynki. Ona mówi po drodze:

— Sew, o Sew, jaki dziwny miałam sen. Jakieś domy ogromne, jakaś sala, a w niej tyle ludzi, tyle ludzi. Nigdy nie widziałam w jednem miejscu takiego tłumu wielkiego. A potem, wiesz co było potem? Ci ludzie rzucali mi kwiaty, całe góry kwiatów, tak, że wnet nakryły mnie całą i zaczęły dusić swoją wonią. Obudziłam się z krzykiem. Ach, Sew, to straszne być musi tak udusić się w kwiatach, co?

— Nie wiem, Niobe, nie słyszałem, by ktoś umarł taką śmiercią.

— Ale czy można? Tyś taki mądry, tyle rzeczy wiesz, o tylu już mi mówiłeś, powiedz.

— Możliwe, bardzo możliwe, Niobe. Na świecie dzieją się różne dziwne rzeczy.

Zamyśliła się na moment, a potem roześmiała się i rzekła.

— A jednak to piękna śmierć.

— Dziecko jesteś. Któż myśli w twoim wieku o śmierci? Przed tobą dopiero życie. Chciałbym coś zjeść, bom taki głodny, żem gotów zjeść ciebie, połknąć cię całą bez reszty.

Pogroziła mi paluszkiem i wbiegła do chaty, a po chwili z ust jej popłynęły idealnie czyste i nieskazitelne słowa pieśni, tej samej pieśni, którą śpiewała niegdyś na pagórkach starej Altyki, ów przesławny „Marsz hoplistów" — jak go nazwałem.

Głos mojej Niobe dawniej już był diamentem najczystrzej wody, ale diamentem nieoszlifowanym. Ja go teraz oszlifowałem i wygładziłem, skutkiem czego cena jego wzrosła tysiąckrotnie. Głosu Niobe byłem pewien, ale co ze mną? Tak dawno nie miałem skrzypek w ręku, że już niemal zapomniałem jak mi się zdawało, jak na nich grać. Ramię moje było elastyczne i silne i mogło smykiem władać doskonale, choćby on był ciężarem stufuntowym.

Coraz częściej też budziło się we mnie pragnienie zdobycia skrzypek i tęsknota za ich tonami. Coraz częściej też w miarę skrystalizowania się głosu Niobe, powstawała we mnie chęć, ogromna chęć spojrzenia znowu tym tłumom bezmyślnym i nieludzkim w oczy i wychłostać je, okrutnie wychłostać za tę pogardę i zapomnienie, któremi mnie jak cykutą nakarmiono, za owo włożenie mnie za żywa do trumny. Pokazać im się na oczy, olśnić, podbić, sholdować, rzucić do nóg, by jęczeli z ekstazy i uniesienia, a potem odwrócić się na pięcie i odejść.

To będzie moja zemsta, zemsta Sewera Jargi, którego oni pogrzebali, a który zmartwychwstał, by pomścić krzywdę. Lecz czy zagram znowu tak, jak grywałem ongi? Czy stolice świata znów legną u mych stóp? Muszą, muszą lec, jeśli nie u mych własnych, to u stóp Niobe, a czyż to nie wszystko jedno?

Lecz, aby tego wszystkiego dokonać, potrzebne są pieniądze, ów nirw życia, źródło wszelkich poczynań, energia, geneza początku każdej rzeczy. A my ich nie posiadamy. Jesteśmy biedniejsi od ateńskich żebraków i nie mamy się nawet ubrać godziwie za co. A tak, jak teraz jesteśmy — nie wpuszczą nas na najgorszą scenę małego miasteczka.

Skąd wziąć pieniędzy? Oto nowa zagadka.

XVI

— Sew, o Sew, jakże bardzo pragnęłabym zobaczyć te wszystkie miejsca, o których mi opowiadasz!

Niobe przytuliła się do mnie jak rozpieszczony dzieciak i oczy podniosła do góry, tak błagalnie, z taką modlitwą w źrenicach, że żal i gniew opanowały mą duszę.

I cóż wart, nawet genjalny temat — myślałem — gdy brak tak marnego środka, jak pieniądz, zostawia geniusza w cieniu i zjada jego złoty mózg nuda i spleen! Ach, pieniędzy, pieniędzy za cenę dziesięciu lat życia!

— Sew, powiedz, jakby to zrobić, abym ja mogła zobaczyć te wszystkie dziwy i cuda świata, o których mi mówisz? Okręty, ogromne, jak największe domy, miasta ludne i wspaniałe, ogrody olbrzymie, jak raje i to wszystko, wszystko inne?

— Widzisz, Niobe — zacząłem łagodnie — aby to wszystko zobaczyć, potrzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, a my ich nie mamy.

— Pieniędzy — powtórzyła w zamyśleniu. — Jak dużo, Sew, powiedz jak dużo?

— Dużo, dużo pieniędzy. Nigdy nawet na oczy nie widziałaś tak wiele pieniędzy, ile nam potrzeba na to wszystko.

Twarzyczka Niobe posmutniała bardzo, czoło się zmarszczyło i w tej swojej zadumie była tak piękną, że we mnie znowu zbudziła się z rykiem bestia. Opasałem postać Niobe silnemi ramionami, a usta moje, rozchylone i dyszące pożądaniem, zaczęły szukać jej ust. W głowie huczał mi gwałtowny przypływ krwi, serce waliło tak mocno, jak serce dzwonu na trwogę pożaru.

Niobe odwróciła szybkim ruchem głowę i oczy, te jej boskiej piękności oczy, wyrażały tak straszną trwogę i żal, i gniew i pomstę jednocześnie, że mogły samem spojrzeniem uśmiercić, lecz tym razem nie miały już władzy nade mną. Moja bestia domagała się żeru dla siebie, nie dbając na nic, na nic... Dopiero jej szept... Nie, to nie był szept. To było raczej z otchłani męki i udręczenia, krzyk straszliwie znieważanego człowieka, lęk i trwoga, lament i błaganie — wszystko było w tym jej szepcie, który pokonał moją bestję, zmusił do odwrotu, do ucieczki.

— Sew, ach, Sew, jak możesz niszczyć nasze szczęście...

I nic więcej, ani słowa — nie. Ale tego było dość, dość na Boga! Wstyd mnie ogarnął, piekł żywym ogniem, szarpał moje biedne i umęczone serce na krwawe strzępy i strzępami tymi zapychał nienasyconą paszczę mojej bestii.

— Niobe... przebacz — już nigdy, nigdy, przysięgam na prochy ojców moich, na mego Boga i bogów starej Hellady — nigdy... Szał mnie ogarnął, jakiś zwierz dziki, pierwotny i okrutny, który, w każdym człowieku drzemie — zbudził się... O Boże! Niobe, nie płacz, nie płacz, bo oszaleję! Twoje łzy padają na moje biedne i umęczone serce, jak kamienie młyńskie i gniotą, o, jak strasznie gniotą... Niobe, Niobe, Niobe... Szczęściem mi jesteś prawdziwem i wiekuistem, ogromnem jak wszechświat cały, że nie obejmie go człowiek rozumem swoim, ale i przekleństwem doli mojej i duszy mojej jesteś... Koisz bóle i cierpienia, które sama zadajesz, ale słodsze mi one są od ramion twoich i od rozkoszy, którymi tylko wybranych bogowie darzą...

— Sew, o Sew, nie mów tak, nie mów... Czekaj, miej cierpliwość, nadejdzie dzień... napewno — wierz...

— Nadejdzie dzień? Ale chyba wtedy, gdy mnie już nie stanie, bo spopieleję w żarze własnego serca, i umęczę duszę moją tak, że w owym dniu obiecanym, nic już nikomu, nawet tobie, która jesteś cząstką tej duszy, nic już dać nie będę mógł z siebie. Ooo!

— Sew, o Sew, czekaj, wierz, ufaj! To jeszcze nie szczęście, jeszcze nie. Ono przyjdzie, napewno przyjdzie...

XVII

Czekać? Na co i jak długo mam czekać? Czy nie dość czekałem w życiu. A potem to szczęście, które ma dopiero przyjść. Wierzę w to przyjście, bo ona, moja Niobe, nie myli się nigdy.

Zresztą, ochłódłem już teraz tak bardzo. Zaczynam rozważać wszystko na zimno, spokojnie, wolno, punkt po punkcie, zaczynam definiować samo pojęcie szczęścia. Czem jest? Jak się objawia?

Szczęście, ten Bóg wiecznie młody i nienasycony ludzkości, jestże uchwytnym, czy chimera to jeno? Czem on jest? Jak się do niego dąży, jak je się zdobywa?

Nie wiem, nic nie wiem, prócz tego jednego, że serce moje znękane i udręczone teskni za spokojem, za ciszą i jakiemś ukojeniem, któreby je utuliło, jak matka spłakane i skrzywdzone dziecko. Pójdę nad morze, siądę tam na kamieniu i wystawię płonącą twarz moją i całe moje ciało na rzeźwy prąd idący z dalekości mórz. Ona mnie ochłodzi, wyrówna wzburzone fale mego serca i ześle tak bardzo pożądany spokój i ciszę.

Całe morze wygląda, jakby je kto radłem w brózdy poznaczył. I jest takie ciekawe, jak wieczna zagadka. Szumi swoją wiecznie jednostajną pieśń i pluszcze o kamienny brzeg, wgryzając się weń od wieków.

Jakże dobrze mi jest tutaj. Szybkonogi wiatr smuży się na wodzie redlinami i fałdami, uderza swoją piersią o pierś głazów nadbrzeżnych, zawadza o mnie i zdaje się szeptać mi do uszu wszystkie legendy i wszystkie opowieści mórz dalekich. Białopióre mewy krążą krzykliwie z bojowniczo rozpostartemi skrzydłami, a moja łódź przywiązana do brzegu jak pierw na łańcuchu, skrzypi i skarży się, bo strudzona i zmęczona jest.

Wzburzona fala we mnie układa się szybko i wnet ślad nawet z niej nie zostanie. Toń się wyrówna i nastąpi spokój. Znowu stanę się sobą, tym samym Sewerem Jarga, co dawniej. Cywilizacja i polor ogładv towarzyskiej, znowu wezmą mnie w karby swoje i wtłoczą w koryto codziennej walki o byt.

Niobe zostawiłem samą w chatynce naszej. Nie chciałem tam zostać, bo nie miałem sił. Wstyd mnie teraz taki pali, że nie wiem, czy mógłbym jej spojrzeć znowu w oczy z dawną prostotą i ufnością. Co ona tam robi teraz? O czem myśli?

Na ziemię szary spływa mrok. Lecz morze błyszczy wciąż jak olbrzymia polerowana tafla. I szemrze teraz zupełnie coś innego niż za dnia. Jego opowieści wieczorne nie są w niczym podobne do opowieści dziennych.

Wzrok mój biegnie w dal, na zachód, do tych miejsc i do tych ludzi, z którymi mam rozegrać batalię ostatnią, a wtedy odejdę od nich na zawsze, ale odejdę sam w glorii sławy. I jednocześnie powstaje we mnie z ogromną siłą utajona, lecz wiecznie czujna tęsknota za muzyką, za moją własną muzyką. Cóżbym dał za to, gdybym mógł posiadać w tej chwili skrzypki i gdybym mógł zagrać tutaj, na brzegu tego morza, jedną z tych melodyj, które rozbrzmiewają mi w duszy. Lecz narazie mogę ją tylko nucić półgłosem i rozkoszować się jej wibracjami na wietrze. To mi jednak nie wystarcza. Tylko tony mych skrzypiec zdolne są oddać całą potęgę uczucia, jakie zawierają melodię dyszące mi wciąż w piersi.

Wieczór już zupełny i ciemno. Jeszcze nie wszystkie gwiazdy się przebudziły, by wykąpać się w morzu. Tarcza miesięczna nie roześwietli dzisiejszej nocy — zato świecić będzie w dzień.

Podniosę się z mego kamienia i kołnym krokiem pójdę do małej chaty nad brzegiem morza. Wejdę tajemnie i pogrążę się w zapomnieniu snu, gdyż nie odważę się dzisiaj spojrzeć jej śmiało w twarz. Wstydzę się za siebie, za swój czyn i za boją bestię.

XVIII

Niobe odeszła. To nie ulega żadnej wątpliwości. Nie zabrała nic, krom skromnych zapasów żywności — i odeszła ode mnie, nie pożegnawszy się nawet. Bo i po co żegnać się miała? Każde pożegnanie, gdy nie ma nastąpić powrót — jest tragiczne i rozdziera duszę. Chciała mi zaoszczędzić upokorzenia i odeszła w cichości. A może była tu, w mojej izdebce, kiedy ja spałem i śniłem sny tęczowe i złote? Może była i długo stała nade mną, czekając aż się przebudzę? Ale ja się nie zbudziłem. Jak to może być, abym ja, nawet we śnie, nie odczuł jej obecności? Czy za karę?

Pusto teraz w mojej chacie. Wszystko takie obojętne i obce, jakbym nagle znalazł się w obcym domu, gdzie żaden przedmiot nic mi nie przypomina. A przecież wszystko tutaj, na cokolwiek padnie wzrok mój, nierozdzielnie złączone jest z Niobe.

Chodzę jak błędny i jednocześnie wystygły zupełnie. Zapomniałem o jedzeniu i po raz to pierwszy, odkąd tu mieszkam, zdarza się, że nie jadę zrana na morze. Już mi to teraz niepotrzebne. Nie mam dla kogo starać się o jedzenie. Sam, czemkolwiek się posilę.

Jakie to dziwne, że żal mój za Niobe, który mi serce rozsadza, nie uzewnętrznia się wcale. Jestem spokojny i cichy, ale tym spokojem, który zamordować może. Nie krzyczę i nie wołam, jak niegdyś. Bo wiem, że moje krzyki nie zawrócą z drogi Niobe. I uważam to za rzecz zgoła naturalną i prostą. Złamałem przyrzeczenie, więc ona odeszła. Ale moralnie czuję się okropnie. Jestem tak wyschły, jak drzewo, które dawno umarło. Czasem tylko odczuwam, że coś mnie tam w piersi boli. Głupie serce, i cóż ci z tego przyjdzie? Niobe nie ulituje się nad tobą, bo ona nie czuje tego, co ty czujesz. A jeśli czuje? a jeśli cierpi? Brednie — pocóżby odchodziła? Czyż tak bardzo źle jej było ze mną? Czyżem jej nie szanował? Nie czcił jak bóstwa? Inny drwiłby sobie z owego warunku, a ja go przecie przestrzegałem. A że się ostatnio trochę uniosłem? Każdy ma nerwy i krew w żyłach.

I pomyśleć... pomyśleć, że żyliśmy tak razem od wielu dni, a jednak ja, choć kocham ją nad duszę, nie złożyłem na jej ustach dotąd ani jednego pocałunku... Naturalnie, nie licząc tego jednego tam, w szałasie, gdy ona spała. Gdzieś tam, w „świecie", w cywilizowanych środowiskach rzymskiego, paryskiego lub londyńskiego high life'u — nikt by temu nie uwierzył. Poczytanoby to za bajkę dla grzecznych dzieci i uśmiechanoby się i roznoszono po kątach nasze dobre imię.

— „Ach, pani, jaki ten kochany Jarga jeszcze naiwny".

— „Artyści, to duże dzieci, przeto..." — i tu nastąpiłoby wiele znaczące spojrzenie, gest sam w sobie obraźliwy i brutalny, a potem słowa szeptane na ucho, chyba po to jedynie, by się ściany nie zarumieniły ze wstydu, słuchając tych słów.

„Tamci" ludzie, sami z uczciwości wyzuci, sami perwersyjni, nie mogą sobie wyobrazić nic krystalicznie czystego. Lubieją grzebać się w błocie i brudzie i to sprawia im... przyjemność. I nie to, o, bynajmniej nie to, nęci mnie i wabi do nich!

Nęci? wabi? Powiedzmy to w czasie przeszłym, a utrafimy w sedno. Nęciło mnie i wabiło, gdy ze mną była Niobe, lecz dziś? Gdybym miał włosiennicę, przywdziałbym ją, posypał głowę popiołem i rozpoczął jeremiady na grobie mych marzeń i przed progiem mego szczęścia.

Ale nic podobnego się nie stanie, choćby mi dano i wóz pokutny. Po cóż będę opłakiwał to, co było połowiczne i nieistotne? Trzeba się z losem pogodzić, na tem lepiej się wychodzi. Wodzenie się z tym panem za bary, sprowadza zawsze przegraną.

Kiedy jednak myślę o przeszłości, która jeszcze wczoraj była moim udziałem — doznaję rozkosznych wzruszeń. Bo — mówcie tam sobie co chcecie, ale każda niezwykłość, każda oryginalność ma dla nas niezwykły urok i to nawet wtedy, gdy oryginalność ta jest naiwna. Przy czym — piękno i dobro sprowadza na nas to, co ludzie nazywają spokojem sumienia. Radujemy się przecież zawsze, ilekroć uda nam się spełnić coś dobrego.

Więc i ja raduję się teraz, gdy myślę, że nasze z Niobe współżycie, było tak idealne, tak typowo platoniczne. To przecież niecodziennie się zdarza taka jak moja przygoda. Kobiety mają zwyczaj wypowiadać 99 razy „nie“, gdy je się o co prosi, ale te przeczenia są raczej potwierdzeniami. I w rezultacie ulegają, stając się przez to jakby księgami przeczytanemi. A książki przeczytanej dzisiaj, nie będziecie przecie czytali jutro powtórnie. Nie będzie ona już miała dla was żadnego uroku i żadnego zaciekawienia. Całą jej treść znacie na pamięć od pierwszej do ostatniej strony. Jeśli powrócicie do niej znowu, to chyba wtedy dopiero, gdy zapomnicie treść i zechcecie ją sobie przypomnieć.

Niobe, to księga tajemnicza o niesłychanie bogatej treści. Zamknięta na siedem mocnych zamków, będzie kusić każdego, ktokolwiek zbliży się do niej i okiem rzuci na jej zewnętrzną okładkę. Co ta księga zawiera? Jak ją można otworzyć, by zbadać choć odrobinę jej treści? Oto pytania, które nasuną się każdemu mężczyźnie. Ta księga będzie dla nas naszą wieczną pokusą. Odbiegnie nas radość, odbiegnie nas chęć do wszystkiego innego, zapomnimy o wszystkiem, cokolwiek było naszym udziałem dawniej, ale oddamy się całkowicie jednej myśli tylko, jak stworzyć księgę i jak zajrzeć w jej treść. I jeśli dokonamy tego, jeśli nam się to uda kiedyś, to przekonamy się, że treść warta była tak długich zachodów, bowiem jest cudowna.

Krążę po naszej chatce i myślę nad tem wszystkiem. A kiedy oko moje spocznie na jakimś przedmiocie, którym się posługiwała lub którego dotykała Niobe, staje mi jej postać przed oczyma jak żywa i zdaje się uśmiechać i przemawiać przemawiać do mnie głosem bezdźwięcznym, którego nie mogę wcale zrozumieć, ani, tem mniej, usłyszeć.

Te przedmioty drażnią mnie, przywołując na pamięć chwile minione i niepowrotne. Nie mogę już znosić ich widoku, ani ich obecności przy sobie. Wiem, że to dzieciństwo, gniewać się na przedmioty martwe i nieczułe, które nic przecie nie zawiniły, ale — mimo to — nienawidzę ich, bo mi przypominają Niobe, która odeszła. Jutro zbiorę je wszystkie w wór skórzany, przytroczę do kamienia, zawiozę daleko na morze i wrzucę do wody. A potem?...

Potem podpalę moją chatę i pójdę na zachód. Dojdę może do jakiego portu, gdzie uda mi się wsiąść na okręt i wracać do tego świata, od którego uciekłem. I zapomnę na zawsze o mojej przygodzie i o Niobe. Nie zobaczymy się nigdy. Prześniliśmy razem sen cudowny, jaki nie każdemu śnić jest danem. Lecz sen nasz, jak każdy inny, prześnił się, bo był tylko snem. Najpiękniejsza bajka także miewa koniec i to nie zawsze radosny.

XIX

Długo wczoraj z wieczora zasnąć nie mogłem. Trudno spać spokojnie, gdy się ma serce skrwawione, a spokój rozbity, jak bańka mydlana. A taka przecież ta bańka była piękna! Lecz prysła na najdrobniejsze odrobinki — zbierzże ją teraz, człowiecze, i stwórz takie samo cacko, jak tamto, które się rozbiło.

Wkońcu jednak zmęczony i wyczerpany myśleniem — zasnąłem, by następnie zbudzić się raptownie pod wpływem śpiewu. Czyżby legendarne syreny wyszły z morza na brzeg i napełniały świat cały swoim bajecznym śpiewem? Marynarze całego świata utrzymują, że widok syreny przynosi szczęście. Pójdźmy zobaczyć, może i nam ona przyniesie złudę szczęścia...

Ubrałem się pospiesznie i w chwili, gdy z zapalonym kagańcem podchodziłem do drzwi, znowu rozległ się śpiew, a ja cały drżący i przejęty, omal kagańca nie upuściłem. Stanąłem na miejscu nagle i nie odważałem się pchnąć drzwi, by je otworzyć. Byłem ogromnie wzruszony i światło w mej ręce drżało i chybotało, jak na wietrze, choć wiatru nie było.

Ktoś śpiewał arię Aidy najcudniejszym pod słońcem głosem. Czyj to głos przypomina mi ten śpiew? Czyj, o Boże!

Zgasiłem światło i przywarowałem do drzwi.

Wspaniały, niezrównany sopran dzwonił pod niebo samo boską melodię, pełną utajonej tęsknoty miłości, pożądań i zapragnień wiekuistych, jak glob ziemski, jak ludzkie istnienia starych, lecz odznaczających się, niby Feniksy przez pokolenia ludzkie...

Pchnąłem gwałtownie drzwi. Byłem pewny, że nikt obcy nie potrafiłby śpiewać podobnie tej melodii oprócz jedynej istoty ludzkiej, którą znałem i którą ja pieśni tej śpiewać uczyłem.

A istota ta stoi oto przede mną, wpatrzona gdzieś w dal na morze, gdzie już blady świt zbierał palcami zwiędłe gwiazdy z nieba.

— Niobe!

Wszystek mój żal, i ból, i miłość, i tęsknotę — zawarłem w tym jednym krótkim okrzyku. I przypadłem do jej stóp, obutych w zakurzone daleką snać drogą sandały, całowałem kraj jej szaty i łzy roniłem ze szczęścia, co mnie zwaliło z nóg, jak ciepłe tchnienie burzy wali dąb wiekowy.

— Niobe, moja Niobe... wróciłaś, wróciłaś... cieszyłem się jak dziecko, powtarzając słowa te wkoło.

— Czy wątpiłeś o tem, Sew?

— Ja się tak bałem, tak się bałem...

— Że nie wrócę? O, Sew, jak mogłeś? jak mogłeś?

Jej ręce spoczęły na mej głowie i gładziły długo moją czuprynę, a potem ona sama osunęła się na ziemię tuż przy mnie i długo wpatrywała się w moje jasne oczy i długo czytała z nich prawdę moich cierpień od czasu, gdy zniknęła tak nagle.

— Gdzie byłaś, Niobe?

— Och, Sew, daleko, bardzo daleko stąd. Trzy dni nie było mnie tu przecież, a za trzy dni daleko, bardzo daleko zajść można.

Oczu z niej nie spuszczałem, lecz nie śmiałem pytać o nic. Dość mi było samego jej widoku. I chociaż popełniłaby była grzech największy wobec mnie — przebaczyłbym jej w tej chwili wszystko, wszystko... Miłość przebacza wszystko i zawsze. Zapomina przewinienia i urazy i leczy najkrwawsze rany, bo ona jest doskonałą jedynie z pośród wszystkich uczuć ludzkich.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

18)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

— Hm... Ubiór?... Rzecz jasna, że trzeba go zredukować do rozmiaru figowego listka. Dla klasycznej bogini i tego aż nadto! Wrażenie będzie szatańskie! W prasie i w towarzystwie zacznie się polemika — przyzwoicie, czy nieprzyzwoicie? Z takiem ciałem, jak ma pani, wszystko jest przyzwoite! Do dzieła więc! Tylko proszę nie odkładać!

Podczas wyjazdów Maniji na zdjęcia, czy gdzieindziej, chart pozostawał w hotelu pod opieką Gonzalesa. On był jego niańką, wyprowadzał go na spacer, bawił, karmił. Dbałością o psa podkreślał swoją miłość do jego pani.

I teraz tak samo: Manija razem z Mar-Molli wróciła z atelier, a błogo uśmiechający się Gonzales czekał na nią przed szklanemi, obrotowemi drzwiami hotelu. Na pasku trzymał śnieżnobiałą Akteę, o wiele więcej rasową od niego. Mała, delikatnie zarysowana, nerwowa główka, długi, cienki tułów i suche, silne nogi.

— Doskonale, wezmę Akteę do siebie...

— A mnie? — bojaźliwie zapytał Gonzales.

— Za nic!.. Ale, jeśli pan chce mnie widzieć, za godzinę zejdę i pozwolę się odprowadzić do Claridge.

— Wedle rozkazu! — pokornie zgodził się Gonzales.

Winda uniosła do góry obie gwiazdy i Akteę.

Ledwo zamknęły się za niemi drzwi ich apartamentu, Manija zaczęła się rozbierać.

— A to co? — zapytała zdziwiona Mar-Molli.

— Chcę sprawdzić pomysł naszego grubasa Benau. Czy doprawdy portret „Diana z chartem" będzie tak efektowny?

Kompletnie naga Manija z psem podeszła do wielkich lustrzanych drzwi szafy.

Nie mając nastroju do pozowania, Aktea łasiła się do swej pani, obwąchiwała ją i trącała wilgotnym nosem.

— Aktea! Nieznośna! Ot, przyczepiła się! Pójdziesz! Leżeć!

— Ona zachwyca się swoją panią! Zresztą twoje ciało tak ślicznie pachnie, — rzekła Węgierka, sama zachwycona nagością swojej przyjaciółki.

Wreszcie Aktea przyjęła odpowiednią pozę, dotykając swoją gęstą sierścią różowiejącej się u bioder nogi Maniji.

— Tak! Teraz dobrze! — z zadowoleniem przyglądała się Manija odbiciu Diany i charta.

— Spojrzyj, Mar-Molli!.. Bardzo cenię twój gust...

— Wspaniale będzie!.. I w kompozycji i w harmonji białego... z białem. Ale właśnie podchwycenie tej harmonji jest bardzo trudne dla malarza. Bertran-Massez jest mistrzem! On da sobie radę...

— I ja tak myślę!.. Ale ten „figowy listek", o którym wspominał Benau — to głupstwo! Ja chcę pozować zupełnie nago. Jak ty myślisz?

— To będzie bliższe prawdy i bardziej artystyczne! Boginie Olimpu nie znały żadnych ubiorów. Tak, na przykład, madame Dubarry pozowała Goudon'owi do jego rzeźby „Diana". Mojem zdaniem, tak jest nawet moralniej.

— Brawo! Żadnych chusteczek do nosa, żadnych figowych listków... Ale będzie głośno o tem!

W salonie zadzwonił telefon.

— Manijo, droga! Pójdź do telefonu! Jeśli to jest Viljegas, to mnie niema! Miły chłopak, ale nawet od tego miłego chłopaka chciałoby się czasem odpocząć.

— A gdyby to był Gafani?

— Tembardziej mnie niema!

Manija pobiegła do salonu, a pies za nią. Manija wskoczyła na krzesło, siadła na poręczy i zdjęła słuchawkę.

— Hallo! Kto? Gafani? Niema jej. Co? Pan widział, jak wróciłyśmy? Wierzę panu, ale pan nie widział, jak wyszła. Doskonale! Powiem, że pan dzwonił. Dobrze, dobrze! Przepraszam, ale niezupełnie jestem ubrana i zimno mi. — Manija z trzaskiem położyła słuchawkę na miejsce. Mar-Molli powoli zbliżyła się do niej.

— Ach, Manija, Manija, jak mi smutno!... Trzeba grać i uśmiechać się w atelier, na wyścigach, przed objektywem, a w duszy — pustka i smutek... Cała jestem sztuczna. Czekam na coś, sama nie wiem na co... Coś się zbliża! Dobre czy złe, nie wiem... Pewno — złe! Ale najbardziej mnie brzydzi maska przed Gafanim. Wtajemniczyłam cię we wczorajszą moją rozmowę z nim. I ta żmija śmie marzyć, że ja z nim pojadę! Z nim — pośrednim, czy bezpośrednim zabójcą Ammałata. Ale, masz rację! Nie odpędzając go, można go obserwować. Na przykład, ten jakiś fantastyczny spadek!..

— Kłamca — pogardliwie wzruszyła ramionami Manija, zapalając papierosa. — Spadek! Jakieś większe oszustwo, albo rabunek! Moja droga, nie wychodź z formy, trzymaj rękę na pulsie, pocierp jeszcze trochę. Trzeba jak najwięcej poszlak zdobyć, a wtedy zdemaskujemy go zaraz po zdjęciach.

— Oh, zemszczę się, zemszczę się! — z gniewem i ponuro przyrzekła Węgierka.

Po skromnym obiedzie

O godzinie pierwszej Gafani podjechał do willi, zajmowanej przez Ałmaz-Chana. Dziś Gafani był mniej pewny siebie, aniżeli wczoraj, podczas pierwszej swej wizyty na Avenu Raphael.

Peszył go Kerim, który, coprawda, niczem jeszcze nie zdradził swej nieprzyjaźni. Peszyła rytualna część obiadu. U tych muzułmanów całe życie — to rytuał. Przeciągniesz, czy niedociągniesz — ryzyko jednakie. Coprawda on uprzedził, że rany i kontuzje czasami zupełnie odbierają mu pamięć, i że podczas długich tułaczek po obcych ziemiach, pogubił święte „adaty" ojczystej Muganji.

Tak było, czy też tak mu się wydało: Kerim, który wyszedł na dzwonek spotkał go może z większym honorem, aniżeli wczoraj, ale i bardziej ozięble. Nie pocałował w ramię i po głębokim „selamie", zamiast „panie mój — bracie mój", ograniczył się do dwuch słów:

— Panie mój!

Dobrze to, czy źle? — zapytał siebie Gafani i sam sobie odpowiedział: źle!

Czy to możliwe, że skarby mugańskiej dynastii mogą wyślizgnąć się z moich rąk?

Ale od pierwszej zaraz chwili spotkania się z Ałmaz - Chanem wszelkie wątpliwości prysły.

Władca mugańskiej korony był powściągliwy, jak przystoi dostojnemu imamowi, ale przez tę powściągliwość przebijała radość, miłość i przychylność.

Gafani do tego stopnia wszedł w swoją rolę, że dzisiaj nic mu się nie wydawało „kradzionem." Coraz bardziej przesiąkając swoją rolą, Gafani klecił jako tako rosyjsko - mugańskie zdania, nadawał im kwiecistą formę, wplatał imiona Proroka i Allacha i dopytywał się o spędzoną noc i zdrowie Ałmaz - Chana.

Zachęcony powodzeniem, Gafani nawet głos upodobnił do głosu swojego sobowtóra i sam siebie pochwalił za niezłą imitację lekko - gardlanej wymowy Ammałata. Coprawda imitacja ta odbiegała od wymowy Synów Wschodu, jednak różniła się od akcentu Europejczyków,

Sali jadalnej w sensie zachodnio - europejskim, z kredensem pod ścianą, stołem w środku itp., nie było. Obiad jedli w tym samym pokoju nieokreślonego przeznaczenia, w którym wczoraj Kerim kazał tak długo czekać drugiemu, długooczekiwanemu gościowi. Pokój ten stał się jadalnią z chwilą, gdy Kerim wniósł mały, niziutki stolik, pokryty obrusem, i postawił go w tem miejscu, gdzie pod prostym kątem stykały się dwie niskie otomany.

Ałmaz - Chan i Gafani usiedli obok siebie, też pod kątem.

Następnie Kerim wszedł z czystym ręcznikiem na ramieniu oraz ze srebrnym dzbankiem w jednej ręce i ze srebrną miednicą — w drugiej. Oba srebrne antyki były artystycznej roboty. Dzban wysoki, zgrabny z wydętem w formie gruszki spodem i długą, cienką, łabędzią szyją, zakończoną fantastycznym dziobem. Ciepła woda polała się z tego dziobu najpierw na ręce Ałmaz - Chana, później na ręce Gafaniego.

Kucharz - kabardyńczyk w czerskim stroju i rudej papasze wniósł na masywnym srebrnym półmisku młodego baranka, pachnącego octem, czosnkiem i jakiemiś korzeniami. Półmisek zajął prawie cały stolik. Ledwo starczyło miejsca dla dwuch białych pszennych placków. Takiego chleba nie jadł Gafani nigdy i nigdzie.

I na chybi - trafi, na ślepo, niech będzie, co ma być, powiedział:

— Moje serce radośnie zabiło na widok naszych mugańskich placków!

— Nie zapomniałeś jeszcze? Tych placków dostarcza mi piekarz z meczetu, — zauważył starzec. — A teraz, dzielny Ammałat - Chanie, wnuku mój, oto nóż, rozdziel jedzenie!

Łatwo powiedzieć: rozdziel jedzenie! Ale jak? Napewno i tu kryje się jakaś rytualna kombinacja...

Biorąc nóż, Gafani rozejrzał się, jakby szukając wskazówek. I dopiero teraz zauważył wyciągniętych we drzwiach kucharza - Kabardyńca i Kerima. Jak jeden, tak i drugi stali z wyrazem niezgłębionej surowości na twarzy. Ich wygląd mógł raczej zamrozić, aniżeli natchnąć do tego, jak należy postąpić z podziałem jadła.

Zauważywszy, a raczej wyczuwszy — gdyż wzrok jego już był słaby — kłopoty Gafaniego z barankiem, starzec sam przyszedł mu z pomocą.

— Przypomnę ci to, coś zdążył zapomnieć, tyle lat przebywając wśród niewiernych. Najpierw potnij na cienkie kromki ten placek. Pokrajałeś? Teraz spójrz — tam stoją nasi wierni słudzy. Oni będą jedli obiad potem, ale ażeby wiedzieli, że myślimy o nich, utnij dla każdego z nich po jednem uchu baranka. Tak. Teraz połóż te uszy na kromki placka. Tak!

Słudzy zbliżyli się do Gafaniego z ukłonem, wzięli swój symboliczny obiad i wróciwszy do drzwi, z powagą, nie spiesząc się, zaczęli jeść.

— Odkraj kawałeczek miękkiego mięsa dla mnie, a potem i o sobie nie zapomnij, — w dalszym ciągu pouczał dziadek wnuka. Talerzy i widelców nie było. Ałmaz - Chan jadł palcami. Gafani był zmuszony pójść za jego przykładem. Średniowiecze jakieś, azjatyzm! — z oburzeniem pomyślał Gafani. Nieprzyjemnie i niewygodnie było trzymać w palcach ciepłe, tłuste mięso, ale zato jak smaczne i delikatne było to jagnię.

Pragnąc przypodchlebić się Ałmaz - Chanowi i kucharzowi - Kabardyńcowi, Gafani pochwalił po mistrzowsku przygotowane danie.

Ale kucharza już nie było. Jak samotna, wielka Kariatyda zastygł Kerim w swoim zawoju i kwiecistym chałacie. Ałmaz - Chan odpowiedział swojemu wnukowi:

— To nie tutejszy, nie europejski baranek. Dostarczają mi ich z Tunisu, gdzie ani smakiem, ani zapachem nie różnią się od naszych, mugańskich, czy tych z Turkestanu i Kaukazu.

Wszystko było jeszcze do wytrzymania. I brak talerzy, i widelców, ale Gafani tracił nastrój i panowanie nad sobą, fizycznie odczuwając na sobie wzrok Kerima.

Gafani czuł, jak niedobre spojrzenie starego sługi to paliło go, to mroziło.

Drażniły go jego odstające uszy, krótkie palce, tułów, który nie wytrzymywał najmniejszego porównania z figurą Ammałata, taką cienką, jak u śnieżnobiałej Aktei! Czemu właśnie to porównanie strzeliło do głowy Gafaniemu? Sam nie wiedział.

Oh, gdyby można było wszystko wiedzieć, wszystko zrozumieć i wszystko przeniknąć!

Jak, na przykład, chciałoby się wiedzieć, czy Kerim wypowiadał swoje podejrzenie wobec Ałmaz-Chana, czy nie? Sądząc z zachowania się starego imama, chyba — nie! Zresztą spróbuj wyczytać z twarzy, co myśli i czem oddycha muzułmanin, który już urodził się dyplomatą i politykiem...

Rozwiązanie zagadki leży tam, u góry, na półkach kasy ogniotrwałej. Wyda, czy nie wyda, powierzy, czy nie powierzy mu Ałmaz - Chan i koronę i złoto i wypełnione perłami czaszki?...

Myśląc o tem wszystkiem, o tych skarbach, o tem, że nie zwykł siadać do stołu bez wina, Gafani nudził się strasznie. Oby prędzej skończył się ten nudny obiad, prędzej do interesu!

Kucharz wrócił po tacę z barankiem, a Kerim podał owczy ser, placki, miód i herbatę.

Kindżał, wiszący na pasie u Ałmaz - Chana nie służył dla dekoracji, lecz był przedmiotem codziennego użytku walecznych muzułmanów, czy to z gór Kaukazu, czy jeźdźców z Muganii czy z Turkiestanu. I jako taki, kindżał zawierał mały kozik, mieszczący się w jego oprawie. Kindżał i kozik zawsze był razem, jak ojciec i syn...

Wyjąwszy ten kozik, Ałmaz - Chan odkrajał sobie kawałek placka, posmarował go pachnącym miodem, położył na to kawałek sera i podał kozik Gafaniemu.

— Miód również otrzymuję z Tunisu... Przypomnij sobie nasz mugański.

Po obiedzie wypili herbatę, poczem znowu pojawił się Kerim z ręcznikiem na ramieniu, miednicą i dzbankiem. Po wymyciu rąk, Ałmaz - Chan zabrał Gafaniego do swojej sypialni, gdzie Stary imam usiadł wygodnie i okrył sobie nogi pledem.

— Nie pomyśl, że ja siebie tak pieszczę, — powiedział. — Do wszystkich moich starszych niedomagań dołączył się jeszcze i reumatyzm. Złapałem go w jesiennych błotach Chiwy, podczas gdy z chanem Bucharskim okrążyliśmy bolszewików, ażeby zaatakować ten sam oddział, który przed kilkoma dniami okrążył Enwer - Paszę z jego sztabem, składającym się z kilkudziesięciu jeźdźców. Opowiadałem już tobie, jak bohatersko zginął z okrwawioną szablą w jednej ręce i świętym Koranem — w drugiej.

— Tak jest, szlachetny Ałmaz - Chanie, dziadku mój, opowiadałeś już mi o tem wczoraj. Bohaterski koniec! Taki typowy dla Enwara, dla całej jego wojennej i politycznej karjery!

— To był prawdziwy lew Allacha i w nagrodę Allach zesłał mu godną zazdrości śmierć. Ale, chciałbym teraz usłyszeć coś o tobie, o twoich wyczynach, o twoich niepowodzeniach, o tem, jak wywyższyłeś swoje imię, a przez to i cały mugański naród, który obdarzył cię życiem...

Gafani chrząknął i zrobił dłuższą pauzę, podczas której starał się przypomnieć sobie wszystko to, co pod płaszczykiem zainteresowania się losem Ammałata, zdążył wyciągnąć od niego podczas wieczornych rozmów przed zaśnięciem w namiocie. Nie musiał zbytnio natężać pamięci.

Zaczął od wielkiej wojny, w szeregach sławnych grodzieńskich huzarów. Obrazowo opisał dwa czy trzy ataki konne. Po krótce naszkicował rewolucyjny upadek frontu rosyjskiego. Dłużej zatrzymał się na walkach z czerwonymi na południu Rosji,

przeplatając opowiadanie nazwami Kijowa, Rostowa, Carycyna, Charkowa, oraz nazwiskami Korniłowa, Denikina, Wrangla i już zupełnie szczegółowo przywłaszczył sobie to wszystko, czego dokonał Ammałat w południowej Ameryce, począwszy od dowodzenią korduelską kawalerią i kończąc na ucieczce przez pustynię.

Cała ta opowieść trwała około trzydziestu minut i przez cały czas myśl Gafaniego była przykuta do żelaznej kasy ze skarbem.

Ałmaz-Chan słuchał opowiadania swojego wnuka z głową opuszczoną w dół i farbowaną brodą na piersiach. W tych miejscach, gdzie mógł być dumny ze szlachetności i odwagi swojego wnuka, zapalały się zgasłe i półwidome oczy dziadka.

Wreszcie Gafani zamilkł. Milczał i Ałmaz-Chan. On się zmęczył. On zawsze odpoczywał po obiedzie i sen go mroczył. Znużone było i stare ciało i stare kości dżygita, który tyle się nawalczył w swojem długiem życiu i tyle setek tysięcy kilometrów zrobił na koniu.

Gafani widział, — nie można było nie widzieć, — że trzeba wstać i pożegnać się. Ale przyrósł do swojego krzesła i nie mógł oderwać się od niego. Draźnił go i do wściekłości doprowadzał stary imam swojem milczeniem. Draźniła tajemnicza kasa ogniotrwała.

— Albo dziś wyniesie te skarby, albo nigdy.

Nagle cały Gafani stanął, jak w ogniu: Ałmaz-Chan przeniknął tajniki jego męczących myśli!

— Tyś dobrze powiedział wczoraj. Aczkolwiek potrafiliśmy obronić twoją własność, jednak bank jest bezpieczniejszy. Zresztą jesteś teraz gospodarzem i sam powinieneś wiedzieć, co robić i jak rozporządzać się swoją własnością. Wczoraj jeszcze, po twojem odejściu, poleciłem Kerimowi to wszystko, — starzec zrobił ruch ręką w kierunku szafy, — znieść nadół i porządnie zapakować.

— I tyś nie był obecny przy tem, dziadku? — mimowoli wyrwało się z ust Gafaniemu.

— A pocóż?! Obraziłbym tylko niepotrzebnie wiernego sługę. Nie tylko skarby Muganji, ale całego świata można mu powierzyć. A teraz, daruj mnie staremu, muszę trochę odpocząć. Bądź jutro na obiedzie.

Ałmaz-Chan klasnął w ręce. Na progu sypialni wyrósł Kerim.

— Niech kucharz sprowadzi arabę, a ty wręcz Ammałat-Chanowi rzeczy i załaduj je.

— Wedle rozkazu, najjaśniejszy władco mój! — rzekł Kerim, zapraszając Gafaniego wzrokiem, by poszedł za nim, wzrokiem nieprzyjemnym, świdrującym. I znowu Gafaniemu przeleciało przez głowę: tylko dziś, a jeśli nie dziś, to nigdy. Jutro na obiad! Niech czekają na niego jutro! Dość tego baranka bez widelców, i miodu z owczym serem, i kozika! Dość tej wschodniej idylli!

I wciąż jeszcze nie wierząc w tak łatwą zdobycz i opowiadając podniecenie, Gafani zeszedł w dół za Kerimem. W pokoju o niewiadomem przeznaczeniu czekał ze dwie minuty. Rozległy się głosy Kerima i Kabardyńca, który zajechał taksówką.

Wszedł Kerim.

— Wszystko załatwione: araba czeka na mojego pana.

Pozory zewnętrznego szacunku zostały zachowane. Ale ten głos, graniczący z pogardą! Niech djabli wezmą to i starego azjatę i jego pogardę! Ostatni raz, ostatni! Gafani już go nigdy więcej nie ujrzy.

Kerim i Kabardyńczyk załadowali na przednie siedzenie ciężką sześcienną skrzynię, zaszytą w łosiowe skóry i bardzo mocno obwiązaną sznurem.

Jakim mistycznym zachwytem zostałby przeniknięty szofer, gdyby wiedział, że ten bagaż ma wartość bez mała miljarda franków!

Wsiadając już, Gafani zrobił to, czego nie należało robić: chciał wetknąć w ręce Kerimowi i kucharzowi po 100 franków. Zanadto już wyglądało to na europejski napisek. Żaden z nich nie poruszył się nawet. Obydwaj schowali ręce za siebie, a w oczach odbiła się już wyraźna pogarda.

Rozgniewany Gafani zatrzasnął drzwiami.

— Monsieur rozkaże? — zapytał szofer.

— Place Vendome!

Wiatr uderzał w rozpaloną twarz Gafaniego, który gubił się w domysłach.

Teraz już niema najmniejszej wątpliwości. Dla Kerima on nie jest Ammałat - Chanem, a Samozwańcem. Wobec tego jakże? Jakże to Kerim nie wpłynął na Ałmaz - Chana i pozwolił wywieźć mu skarby? Było nad czem głowę łamać! I Gafani łamał ją sobie przez całą drogę, nie mogąc niczego zrozumieć i wytłumaczyć...

Jak żyli i czas spędzali pasażerowie „Epiru".

Przez kilka dni pożar „Perły Francji" był sensacją, która zaćmiła kolejny skandal genewskiego posiedzenia Ligi Narodów, i zajęcie Pekinu przez Japończyków, i upadek dolara.

Rzadki wypadek, gdy gazety nie odpowiadały na zapytania, a same zadawały. Nikt nic nie wiedział, i nie mógł zresztą wiedzieć.

Cała katastrofa odbyła się pod znakiem głębokiej i nieprzeniknionej tajemnicy.

Nie było ani jednego uczestnika i naocznego świadka, który mógłby rozjaśnić trochę niebywałą tragedię oceanu. Ani jednego! Wszyscy milczeli. Wszystkich pochłonęła głębia.

Jakieś osmalone kawałki drzewa i dwie lub trzy próżne szalupy, porzucone na łaskę fal.

To wszystko, co pozostało od wspaniałego pływającego „miasta" z czterotysięczną ludnością.

Prasa światowa robiła przypuszczenia:

Prawdopodobnie pożar wybuchnął nie przypadkiem, a był wywołany zbrodniczemi planami. Dlaczego? Ponieważ silna radiostacja od pierwszej chwili stała się pastwą płomieni i nie zdążyła rzucić ani jednego wezwania o pomoc. Następnie, celowo w kilku miejscach podpalony okręt, bezsilny w walce z żywiołem ognia, zbyt szybko poszedł na dno. Stąd śmiertelna panika i stuprocentowa ilość ofiar.

— Dajcie nam, dajcie nam chociażby jednego, który cudem przeżył mrożącą krew w żyłach tragedię! — patetycznie wołały gazety.

Niestety, nikt się nie odzywał...

A „jedyny, który przeżył" płynął na niewielkim „handlowym" okręcie, odcięty od świata zewnętrznego na cały 28-dniowy okres swej podróży.

Na „Epirze" nie było radia, a spotkań z innemi okrętami w otwartem morzu, Ajaks Pecano unikał z powodów zupełnie zrozumiałych...

O szczegółach katastrofy dowiedział się od Ammałat - Chana. Co do reszty spraw, nie tyczących się go bezpośrednio, Pecano nie odznaczał się ani ciekawością, ani zainteresowaniem. Dlatego też nie był miłośnikiem radia ani rozmów przez tubę z mijanemi okrętami.

Jego główną troską było: rozwinąć maksymalną szybkość, na jaką tylko stać było starą skorupę, i w najkrótszym czasie wylądować w Marsylii.

Miał po temu dwie przyczyny:

— Po pierwsze, mam wściekłe, szatańskie swędzenie rąk i chęć jak najprętszego dostania się do skóry tego szubrawca - Gafaniego — wyjaśnił Ammałatowi zapalczywy Grek, — a po drugie — w tem miejscu na jego twarzy z jaskrawą, naturalną charakteryzacją odbiło się zakłopotanie, — nie jest wykluczona i pogoń...

— Przez kogo? — zapytał Ammałat. — Czy nabroił pan coś nowego w Mursji?

— Broń Boże! Za kogo pan mnie uważa? Jestem zbyt ostrożny! Nie, pies jest zakopany w innem zupełnie miejscu. Widzi pan, ja mam konkurenta, który znieść mnie nie może tylko dlatego, że mam więcej szczęścia. On też pracuje w kokainie i broni.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 8 listopada 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja Nabożeństwa z Torunia 12.03 Poranek muzyczny z Łodzi 14.30 Muzyka rozrywkowa (płyty) 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Fragment słuchowiskowy: „Kajus Cezar Kaligula" 17.10 Koncert rozrywkowy 18.00 „Tańce polskie" (Transmisja do Ameryki) 19.00 „Ubiegły rok pracy PAL." — szkic literacki 19.20 Melodie operetkowe 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Recital fortepianowy Pawła Lewieckiego 22.00 Koncert muzyki bułgarskiej 22.45 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 9 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkól 12.03 „Uwertury" (płyty) 15.15 Koncert południowy Małej Orkiestry P. R. 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Walce artystyczne 17.00 „Ideał władcy w dawnej Polsce" — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Edwarda Zathurecky'ego 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 20.00 Koncert kameralny 21.00 „Lwowska karta Wojciecha Bogusławskiego" — wieczór literacki 22.00 „Śluby Jana Kazimierza" — oratorium 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 10 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkól 12.03 Koncert w wykonaniu Sekstetu Niny Mańskiej 15.15 Ryszard Strauss dyryguje własnymi utworami (płyty) 16.30 Koncert Orkiestry Warszawskiej Straży Ogniowej 17.00 Dni powszednie państwa Kowalskich 17.15 Koncert 17.50 „Wesoły wojak" — monolog Kornela Makuszyńskiego 19.00 „Dyskutujmy: „Czy mamy nadmiar inteligencji pracującej" 19.20 „I co pan na to" — lekka audycja muzyczna 20.15 Koncert 21.00 „Na kwaterze" — muzyka baletowa 22.00 „O hymnach narodowych" — audycja Marii Joanny Wielopolskiej 22.45 Polska muzyka taneczna.

Środa, dnia 11 listopada 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja Nabożeństwa z Kościoła św. Krzyża w Warszawie 10.30 Transmisja rewii wojskowej z Placu na Rozdrożu 12.03 Poranek muzyczny 13.30 „Syzyfowe prace" — pogadanka 14.00 Muzyka polska 15.45 „Polska jest wasza" — pogadanka 16.05 „Mikrofony na ulicach Warszawy w dn. 11. 10. 1918 r." 16.40 Koncert 18.00 Słuchowisko historyczne 19.30 Pieśni śląskie 20.00 Polskie miniatury instrumentalne (płyty) 21.00 „Opowieść o Chopinie" — III wieczór 21.45 Koncert Orkiestry Symfonicznej P. R. 22.45 Marsze polskie w wykonaniu orkiestry wojskowej 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Czwartek, dnia 12 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek szkolny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Muzyka (płyty) 15.15 Muzyka lekka 16.20 „Chwilka pytań" — dla dzieci 16.35 Arie i pieśni w wyk. Zofji Fabry i Wiktora Bregy 17.00 „Zatrucie produktami spożywczymi" odczyt 17.15 Symfonia kameralna na 11 instrumentów 17.50 „Książka i wiedza": „O polskim słowniku biograficznym" 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Jedenasty listopada" 19.30 Koncert rozrywkowy z Wilna 20.30 „W najdzikszej dolinie tatrzańskiej" — pogadanka 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich — Zygmunt Stojowski 22.05 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 13 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka 15.15 Muzyka lekka 16.30 Rewia instrumentów w wykonaniu zespołu „Kaskada" 17.00 „Złoto Sybiru" — felieton 17.15 Koncert solistów 19.00 „A przysięgała..." Fragment z powieści Elizy Orzeszkowej 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 Koncert symfoniczny 22.30 „Od pomnika do pomnika" — wesoły skecz Wiecha 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 14 listopada 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Lekki koncert południowy 15.15 Muzyka rozrywkowa 16.15 Operetki francuskie 17.00 „Portrety i szkice muzyczne" — audycja muzyczna 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Recital wiolonczelowy Dezyderiusza Danczewskiego 21.30 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 22.00 „Waterloo czyli miłość synowska" — groteska 22.30 Muzyka taneczna (płyty).

Ostatnia wola bibosza:

Kompanom moim w testamencie
Jedno jeszcze zalecam święcie:
Złamiecie sobie nocą karki
Bez bateryjki „Centra" marki.

HUMOR

W jednym celu

— Jakto? I ty tu, w takiej obskurnej knajpie?
— A ty?...
— Ja tylko wpadłem na chwilę, aby zobaczyć kto tu bywa...
— I ja również.

Dziwna potrawa

— Co ty jesz, Antek?
— Wątróbkę.
— Dajże mi kawałek.
— Kiedy same kości.

Jesienią...

Kazik wychodzi rano do szkoły. Na dworze jest gęsta mgła.
Po kilku minutach wraca uradowany.
— Mamusiu, wiesz co się stało? Szkoła znikła!

Dobra rada i jej skutki

Dyzio dostał kosza i jest niepocieszony. Żali się z tego powodu przed przyjacielem.
— A zrobiłeś tak, jak ci radziłem? — dowiaduje się przyjaciel. — Powiedziałeś jej, że nie możesz z miłości ani jeść ani pić?
— Owszem — odpowiada Dyzio płaczliwie. Powiedziałem jej, że jak na nią patrzę, to tracę apetyt!

Wierny sługa

— Wiesz Janie — powiada przy obiedzie pan do lokaja — to wino jest tak świetne, że można się niem zapić na śmierć!
— O, panie baronie, chętniebym umarł za pana! — odpowiada wierny sługa.

Niedelikatny

— A niech to licho porwie — skarży się kupiec Chapalski swemu koledze po branży — dzisiejsze ciężkie stosunki są już nie do wytrzymania! A tu tymczasem żona musi jechać na Lido, córka do Szwajcarji...
— Na Lido, do Szwajcarji?—wytrzeszcza kolega na niego wielkie oczy — no to nieźle. Przy sposobności może mi oddasz te sto złotych, coś mi winien, bo mnie też bardzo potrzeba pieniędzy.
— No wiesz — na to odpowiadam — Człowieku, nie mogę dać sobie rady z własnymi kłopotami, a ty przychodzisz ze swojemi...

Dwużeństwo

— Chcę ożenić się z piękną dziewczyną i dobrą kucharką.
— Tak nie wolno — to dwużeństwo!

Popularność gwiazdy filmowej

Niedawno przybył do Kairu Anglik, wsiadł na wielbłąda i wyjechał do Gizeh, aby tam zachwycać się widokiem piramid. Owiany nastrojem zamierzchłej przeszłości, czuł się uniesiony w dal od wszelkiej cywilizacji.
Przy powrocie, malowniczy syn pustyni pomógł swemu gościowi przy wspinaniu się na grzbiet wielbłąda.
— Jak się nazywa twój wielbłąd? — zapytał Anglik Araba.
— Greta Garbo, — odpowiedział przewodnik.

Wspólna wycieczka

A więc, Józku, wybieramy się w niedzielę razem na wycieczkę, ja biorę ze sobą owoce i czekoladę, Edek kiełbasę i bułki, Janek flaszkę wina. A ty co?
— Ja — ja biorę ze sobą mojego brata.

W poszukiwaniu żony

— W piśmie matrymonialnym umieściłem ogłoszenie. Dostałem kilka ofert.
— Czy są ciekawe?
— Nie, prawie wszystkie jednakowe. Zaczynają się od słów: „Szukasz pan żony? Weź sobie moją".

A 185 b
ATA
czyści i szoruje wszystko!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.